

WŁODZIMIERZ  
ZUKOWSKI

pięć (5)  
dni  
komisarza  
O'Mletta

aka



7/10/96

Włodzimierz Żukowski

**Pięć dni  
komisarza  
O'Mletta**

Warszawa 1996



## **Dzień pierwszy, poniedziałek**

Telefon był uparty. Komisarz O'Mlett z wysiłkiem podniósł głowę z poduszki i sięgnął po słuchawkę:

– Yes.

Głos po tamtej stronie był wesolutko beztroski, co w tej chwili wydało się komisarzowi ciężką profanacją jego fizycznego i psychicznego stanu egzystencji. Do późnej nocy oglądał program relacjonujący przebieg wyborów prezydenckich i czuł, że stopień jego koncentracji uległ wybitnemu obniżeniu.

– Słucha pan, komisarzu?

– Yes.

– Mamy pilne zaginięcie, wysyłamy samochód po pana.

– Kto ma pylnie żagynąć? – matowym głosem zapytał O'Mlett, odkaszlnął, częściowo pozbył się chryпки i spuścił nogi z tapczana.

– Kierowca wszystko powie. Cześć!

– Czeszcz.

Należało ogolić się. Czyniąc to komisarz usiłował uruchomić mózg, ale rozruch postępował wybitnie opornie. Postanowił szare komórki perfidnie zaatakować wspomnieniami z niedalekiej przeszłości i tą metodą zmusić je do jakiegokolwiek działania.

Przyjechał do Warszawy miesiąc temu, w ramach wymiany szkoleniowej oficerów policji, rzeczywiście nazywał się Eugeniusz Jajszczyt i był synem ubogiego emigranta. Po wstąpieniu do chicagowskiej policji zmienił nazwisko na Egg O'Mlett, bo nikt nie był w stanie wymówić poprzedniego. Wyznaczono go na tę wymianę, bo znał język polski, a przynajmniej tak się wydawało jego mocodawcom.

Gdy podbródek komisarza przestał przypominać wściekłego jeża, a upodobił się bardziej do zużytej miejscami szczotki ryżowej, O'Mlett ubrał się i wyszedł przed dom. Samochód już czekał. Kierowca, młody posterunkowy Pipsztak, przydzielony O'Mlettowi dwa tygodnie temu, otworzył mu od środka prawe drzwi i zameldował:

– Dobre południe, szefie. Rano dostaliśmy zgłoszenie o zaginięciu obywatela, pardon, pana (tu kierowca zajrzał do kartki) Ciurbola Zenona, syna Walerego, zamknięszkałego ulica Krzykleszczaka pięć, lat czterdzieści osiem, zapodanego przez żonę, Grdys-Ciurbol Józefe, jadziem?

– Yadżem.

Ulica Krzykleszczaka leżała na południowych peryferiach miasta, w dzielnicy zabudowanej domkami jednorodzinnymi, wśród których wyrastały jak grzyby po deszczu magnackie rezydencje, bogate w łuki, stiuki i lusterka powklejane gdzieniegdzie w różowe tynki. Posesja numer pięć ogrodzona była płotem stalowym na podmurówce z klinkieru i opatrzona potężną bramą otwieraną elektrycznie, za którą czaiły się dwa rotwailery i trzy owczarki kaukaskie. Stało tam również dwóch wysokich młodzieńców w czarnych dresach z ortalionu, o twarzach nasuwających skojarzenia z parkiem jurajskim. Obaj młodzieńcy uśmiechnęli się pobłaźliwie na widok nowego poloneza, a jeden z nich podszedł do lewej szyby i zapytał grzecznie:

– No, co jest?

– Policja – odpowiedział posterunkowy – byłem tu wezwane!

– Legitymacje – warknął młodzieniec stojący przy szybie.

Obaj policjanci wyjęli i pokazali.

– Broń jest? – zapytał ochroniarz.

– Jest.

– Wyjąć i rozładować.

Komisarz O'Mlett spojrzął kątem oka na posterunkowego i widząc, że ten wyciąga broń spod pachy, wyjął swoje P-84 i wysunął magazynek.

– Magazynki – rzekł młodzieniec wyciągając rękę przez uchyloną szybę. Schował je do kieszeni spodni i przycisnął guzik w pilocie. Brama otworzyła się bezszelestnie i Pipsztak wjechał w alejkę wykładaną płytami z różowego marmuru. Psy obstąpiły samochód, ale jeden z młodzieńców gwizdnął i odprowadził je za wewnętrzne ogrodzenie z siatki.

– Gryżom? – naiwnie spytał O’Mlett.

– Nieee. Od razu konsumują – beznamiętnie odparł drugi z ochroniarzy, powiedział coś do radiotelefonu i wskazał przybyłym drzwi okazałej willi.

Weszli. Wewnątrz, w hallu wykładanym jakimś różowym drewnem, stało dwóch kolejnych opiekunów tego domostwa. Jeden od niechcienia bawił się magazynkiem beretty, wyjmując go i wkładając z powrotem, a drugi, z rękami założonymi na szerokiej piersi kulturysty, stał w rozkroku i spod zmrużonych powiek patrzył zimno na wchodzących. Po sekundzie z dalszych komnat wyszedł twór do złudzenia przypominający kobietę. Miało to coś długą do kostek szatę we wschodni wzór, było niskie i grube, owłosienie miało fioletoworóżowe i rozkociudłane według wzorca „każdy włos na inny azymut”, a w miejscu twarzy białą tarczę w żółty rzucik. Wszedłszy rozwarło dolny otwór tej tarczy i nadało piskliwie:

– No, na koniec przyjechał...ście! Zaczekajcie, to maseczki zmyje, nie?

Wysławszy w eter tę informację twór oddalił się poprzez ten sam łukowaty portal ze złoceniami, z którego się wyłonił.

Czekanie przedłużyło się do jakichś dziesięciu minut. Przez ten czas nikt w pomieszczeniu pałacowym nie wypowiedział ani jednego słowa i nie wykonał żadnego ruchu. O'Mlett rozglądał się tylko ostrożnie i zdążył zauważyć przeraźliwy obraz w złotych ramach, przedstawiający nienaturalnie zeszywniałe popiersie jakichś zwłok, zalane szaro-pomarańczową, stygnącą magmą.

– Podoba ci się? To portret taty! – usłyszawszy za sobą te słowa O'Mlett odwrócił się i zobaczył młodą dziewczynę w dżinsach i koszuli zawiązanej w talii na węzeł. Włosy miała w kolorze platyny, cienkie i zniszczone, a oczy, o wzdorczym i cynicznym spojrzeniu, miały czerwone obwódki, spowodowane zapewne nadużywaniem henny.

O'Mlett nie odpowiedział tylko skinął głową.

– No widzisz. Wszystkim się podoba – stwierdziła dziewczyna i rzuciła się na skórzany fotel zdobny w złote tłoczenia.

Łukowaty portal znów zapełniła szata we wschodnie wzory, zakończona od góry tym razem w miarę normalną głową kobiety



w dostatecznie średnim wieku. Jednym z pięciu szponów lewej ręki wskazała policjantom niską skórzaną sofę i sama usiadła.

– Mój mąż wczoraj w południe miał być w domu, a do ty pory, kurna, nie wrócił, nie? Znaczy coś jest nie tak. Mąż robi w handlu, nie? A som różne, co takich nie lubię, znaczy trza wiedzieć, czy co nie zaszło, jakieś nieporozumienie albo co, nie?

– A monsz w jaki handel? – zaryzykował pytanie O’Mlett.

– Jak to w jaki?

– Noo... czym? Jaka prodjukt?

– Czym? Hurtem oczywiście!

Tu wtrącił się posterunkowy Pipsztak w charakterze tłumacza:

Pan komisarz potrzebuje wiedzieć, w jakim asortymencie szanowny małżonek działa.

– Różnem. Tera się bierze, co podleci. Takie czasy.

– A skąd wczoraj miał wrócić?

– Z Braniewa.

– Dzwoniła tam pani?

– Ma się rozumieć.

– No i co powiedzieli?

– Że owszem był, ale wyjechał.

– Czym wyjechał?

– Coś pan, niedzisiejszy? Tojotom ma się rozumieć!

– I nie dojechał?

– Wkurzasz mię pan! Jakby dojechał, to by był!

Tu wtrąciła się dziewczyna z fotela:

– Nie widzi mama, że te dupki żołądne nic nie rozumieją?

– Belunie, dziecko, ty się, kurna, nie wyrażaj, bo to nieładnie.

Panowie som chentne, wezmom śmigłowca i sprawdzom! Może gdzie jaki obuz go trącił, albo go gdzie napadli i komórkowca mu zwinęli, albo nie wiem, już co!

– A mąż sam jechał, czy z kimś?

– W tamte strone to z kimś, ale na powrót sam.

Komisarz O'Mlett wyjął notes. Ruch ten pobudził czujność wyższego z ochroniarzy, który stanął dwa kroki na wprost policjanta i nie spuszczał go z oka.

– Jaka nazwisko ten, co jechał w tamte strone?

Córeczka na fotelu parsknęła śmiechem. Matka spojrzała na nią karcąco:

– Idź, dziecko, angielskiego się poucz.

Dziewczyna wyszła kołyszając biodrami, matka przypominała sobie nazwisko towarzysza podróży męża do Braniewa, a komisarz siedział z długopisem w ręku i kontemplował rozkraczone nogi ochroniarza, który nie ruszył się z miejsca. Trwało to tak z minutę, kiedy raptem z hukiem rozwarły się rzeźbione

odrzwia prowadzące na zewnątrz i wpadła przez nie córeczka w dżinsach:

– Mama! Tojota jest w garażu!

– Cooo? – matrona zerwała się z sofy i wybiegła, O’Mlett wstał również, ale natychmiast usiadł nadziawszy się na wystawioną rękę ochroniarza.

Po dłuższej chwili matka z córką powróciły do hallu z minami jakby nigdy nic.

– To znaczy, że szanowany małżonek wrócił? Pani tylko nie zauważyła w garażu samochodu? – pytająco stwierdził posterunkowy, a komisarz kwadratowymi ze zdziwienia oczami patrzył na obie mieszkanki willi.

– Gdzie tam wrócił, jakby wrócił, to by był – z urazą w głosie odpowiedziała matka dziewczyny.

– No a samochód?

– Może kto inny odprowadził, może on sam przyjechał i tu go porwali, może... – tu matrona złapała się obiema garściami za głowę i zaczęła ciężko szlochać, jak w najlepszym teatrze, przy czym z jej oczu nie wypłynęła ani jedna łza.

O’Mlett i Pipsztak podnieśli się z miejsc bardzo powoli, jak w obliczu rozwścieczonej kobry – ydżemy – cicho powiedział Amerykanin i obaj skierowali się do wyjścia.

– Ale mojego męża nie maaa! – zawyła Gorgona z sofy.

– Proszę dobrze poszukać – z uśmiechem odpowiedział postę-runkowy.

Po dwudziestu minutach byli w komendzie. O'Mlett nie zdążył nawet zdjąć marynarki, gdy wezwano go do inspektora.

– Wiecie, rozumiecie – powiedział inspektor Strzypiur drapiąc się w ciemię – jest potrzeba, żebyście kontynuowali.

– Czo? – zapytał O'Mlett.

– Poszukiwania zaginionego Ciurbola. Są, znaczy, się naciski osób.

– Ale kara stoi w garaż, a żona...

– Właśnie. Żona zna senatora Trzypotrzyła, a jego żona zna te-ściową komendanta.

– Ja rozumie – domyślnie odpowiedział komisarz.

– No, widzicie. No to działajcie!

– Ja necessity miecz helikopter, kara just żiułf!

– Znaczy, samochód za powolny? He, he, widzę, że ostro idzie-cie. Zadzwońcie do Pafnucaka, że ja kazałem, żeby wam dał!

Pafnucak kłął, ale załatwił. Po czterdziestu minutach O'Mlett siedział obok pilota w wysłużonym Mi i udawał, że się nie boi.

– Leczy tu komenda Braniewo – przekazał pilotowi najbliższe zadanie.

– Kogo komenda leczy, jak rany? – zapytał pilot.

– Ty leczy pręko! – spokojnie powtórzył komisarz dziabiąc palcem w pierś lotnika. Siedzący z tyłu sierżant Charuj postanowił wyřęczyć przełożonego:

– Leciem do Braniewa, do komendy, kapewu?

– Aaaa! – domyślił się pilot i wznieśli się nad płytę.

Półtorej godziny lotu upłynęło bez wydarzeń, tylko w jednym miejscu rozgonili na cztery wiatry fermę kurzą, której mieszkanki w strachu swobodnie przelatywały przez dwumetrowy płot, a hodowca z rodziną wygrażał im czym popadnie.

– Wejź wyżej – zaproponował sierżant.

– Nie mogę, taki mam korytarz – smutno odrzekł pilot – przynajmniej dwa razy w tygodniu oczyszczamy mu tę fermę z kur, bo to trasa na Gdańsk. Facetowi podobno miesiąc temu teść się od tego powiesił!

– Wieczny odpoczynek racz mu dać Panie – stwierdził sierżant.

W Braniewie z ładowiska do komendy nie było daleko. Przyjął ich aspirant i usłyszawszy, że poszukują faceta z Warszawy, który miał tu wczoraj być na rozmowach w jakiejś firmie, z jakimś drugim, którego nazwiska nie znają i podobno stąd odjechał, a ten drugi został – popatrzył na nich jakoś tak dziwnie i spytał:

– A u Wruszki byliście?

– A po cholere do wróżki? – zdziwił się sierżant.

– Jak to po cholere? To prezes miejscowego biznes klab, Michaił Wruszk a się nazywa, urzęduje w tym baraku zaraz na lewo. Wie wszystko, a czego nie wie, to się dowie. Co ja wiem, to od niego!

Prezes szczęśliwie był na miejscu. – Wy ka mnie? – zapytał i posadził przybyłych na kanapce obleczonej w foliowy pokrowiec. Sierżant przedstawił sprawę, a prezes, wysłuchawszy, odpowiedział bez zająknięcia.

– On mnie znakomyj. Był s moim kolegom, Wikto rem Iwanowiczem, no wćioraj ujechał damoj.

– A ten kolega Wiktor?

– Woroliubin? On astała. Tieraz on już w Kaliningradzie. Ja s duszy pomagam palicii, u mienia biznes, da dołžen być pariadok. – zakończył wypowiedź całkiem po rosyjsku.

O'Mlett słuchał tego wszystkiego w napięciu, wodząc oczami po twarzach rozmawiających i widać było na jego obliczu nieprawdopodobny wprost wysiłek umysłowy.

Już na odchodnym sierżant zwrócił się jeszcze do prezesa z pytaniem, aby zaspokoić własną ciekawość:

– A pan czym handluje?

– Ja? Puszki do konserw.

– Da, bierut ot mienia z Jeleniej Góry. Pan Ciurbol po temu dzie-  
ciu pracuje pośrednikiem.

Wyszli od prezesa i podsumowali wiadomości. Ciurbola tu nie  
było, samochód był w Warszawie, sprawa była do załatwienia  
w Jeleniej Górze, to gdzie mógł być sam delikwent? Wrócili do ko-  
mendy i zadzwonili do Warszawy. Ciurbola dalej nie było, a Gorgo-  
na w szacie nic nie wiedziała o żadnej Jeleniej Górze, albo przynaj-  
mniej mówiła, że nie wie.

Pilot siedział w śmigłowcu i jadł kanapkę z hamburgerem, który  
mu strasznie zajeżdżał rybą. Pluł ościami i zielonym papierem, któ-  
ry dziwnie zaplątał się do sałaty. Na styropianowym opakowaniu  
widniał napis „zdrowa żywność – Klamot Stefan”.

– No? – zapytał, gdy weszli i usiedli.

– Leczy do Jelena Góra – zawyrokował komisarz O’Mlett.

– Późno się robi – stwierdził pilot – to w poprzek przez całą Pol-  
skę, może by tak do Warszawy i zanocować?

– Noczowacz Jelena Góra – orzekł komisarz z zaciętym wyra-  
zem twarzy – my mamy mały czas! My order bardzo śledzi!

– O, w mordę! – rzekł pilot z zachwytem i zaczął rozgrzewać  
wirnik.

– Nie wiadomo, czy morda. Może kidnaping. Zwłoka nie ma,  
morda nie ma!

Polecieli. Po godzinie minęli Toruń, po drugiej byli nad Wrocławiem. Było już prawie ciemno, gdy siadali w Jeleniej Górze. Komenda nie miała gościnnych pokoi, więc poszli do hotelu. Dyżurny załatwił pokój, bo bez tego nie mieliby szans.

– Mamy konferencję polsko-czesko-niemiecką na temat ekologii – wyjaśniła recepcjonistka obrażonym tonem – więc mam tylko apartament dla nowożeńców, nie całkiem jeszcze odnowiony. Tydzień temu syn przewodniczącego się żenił i trzeba było wstawić szyby i zeszkrobać sufit – dodała z dumą.

– Ooo, fajn! – powiedział O’Mlett – wieczera i spacz!

– Pan to zna angielski – zachwycała się recepcjonistka – tu flor, namber tu łan tu – rzuciła fachowo podając klucz.

Kolacji nie udało się zjeść, bo konferencja jeszcze obradowała. Dyskusja musiała być burzliwa i kelnerzy latali jak opętani. – Miejsc nie ma i nie będzie! – obwieścił kierownik sali – za rogiem jest bar mleczny – dodał, z dezaprobatą oceniając wymięte ciuchy przybyszów.

Na ulicy kupili frytki i po bataniku milke way. W apartamencie stało podwójne łóżko z wyłamanym wezgiem, a na ścianach można było zauważyć cały asortyment sałatek, a nawet śledzie w oliwie. Sufit był rzeczywiście zeszkrobany i trzcina stercząca spod tynku przypominała O’Mlettowi swojski obraz z lat dziecińczych.



– Ooo, kantry – szepnął ze wzruszeniem i rozejrzał się za łazienką. Owszem, była. Wszystkie krany były urwane i zacopowane na głucho, a sedes w czterech częściach leżał pod ścianą. W pobliżu tego rumowiska snuł się senny karaluch. Na stłuczonym lustrze ktoś szminką do ust napisał „dupka”. Gdy komisarz odczytał ten napis tonem pytającym, sierżant wyjaśnił bez namysłu:

– Dzielnicowy Urząd Przeciwdziałania Korupcji Administracji, szefie. To ostatnio powołali we wszystkich województwach.

– Korrupszyn? – ucieszył się O’Mlett – To wy som już prawie w Junajted Steits! Fajn!

Pilot nie brał udziału w oglądaniu pomieszczenia tylko z miejsca rąbnął się na łożo, które zapiszczało i jego przednia część opadła na podłogę, ale pilot tego nie czuł, bo już spał. Obaj policjanci umieścili się jakoś obok niego, a sierżant zgasił światło.

## Dzień drugi, wtorek

Ranek zastał ich w tych samych pozycjach, w jakich pożegnali wieczór. Pierwszy obudził się komisarz i przez pewien czas usiłował wyprostować się. Gdy mu się to wreszcie udało, to zawałiła się tylna ściana łoża i wstrząs obudził pozostałych.

– Stój, będę strzelał! – ryknął sierżant, widocznie jeszcze nie w pełni obudzony.

– Ale twardo łądujesz – mruknął pilot i spał dalej.

O'Mlett spojrział na zegarek, dochodziła siódma. Poszedł do łazienki, popatrzył na rumowisko, przeciągnął dłonią po zarośniętym podbródku i zataczając się wyszedł na korytarz. Na lewo była klatka schodowa zastawiona jakąś palmą, a na prawo sprzątaczką była odkurzaczem. Komisarz podszedł do niej i zapytał:

– Ja mycz i golycz, gdzie?

– Mów pan po ludzku, nie mam czasu na pierdoły – rzeczowo odpowiedziała kobieta.

– Woda, bul, bul, bul... – zaryzykował O'Mlett.

– Suszy pana? Głowa boli? Nie trza było tyle pić? Naukowce, profesory wielkie, a wypić nie umią, pfuj!

Komisarz zrezygnował i wrócił do pokoju. Obaj współtowarzysze upojnej nocy siedzieli na załamany łożu i rozcierali zdrętwiałe członki.

– Warto by coś zjeść – stwierdził pilot w przestrzeń.

– No. Idziemy? – spytał sierżant.

– Ydżemy – z determinacją zdecydował O'Mlett.

Recepcjonistka w hallu wręczyła im rachunek. – Sześćset dziewięćdziesiąt dwa trzydzieści – powiedziała patrząc na nich z dezaprobatą.

– Tak tanio? – sierżant wybałuszył oczy.

– Nowych złotych oczywiście. W starych to jest szęść milionów dziewięćset dwadzieścia trzy tysiące – beznamiętnie wyjaśniła recepcjonistka. – Płacie panowie gotówką czy czekiem?

– Niech to pani prześle do wojewódzkiej komendy policji – warknął sierżant.

– Pan mnie nie będzie straszył! Marcin, przypilnuj panów, ja dzwonię po radiowóz! Czy może wołą panowie zapłacić?

– Niech pani dzwoni – powiedział sierżant i usiadł pod okazałą palmą.

Bykowały portier nazwany Marcinem stanął w wejściu i wziął do ręki kij bejsbolowy, a recepcjonistka wydzwaniła we wszystkich możliwych kierunkach. Po chwili w hallu pojawił się mężczyzna w muszce.

– Co jest, pani Helu?

– Ci panowie nie chcą płacić! Dzwoniłam na komendę!

Sierżant uśmiechnął się i powiedział do pilota:

– Dobra, przynajmniej nas podwożą – natomiast pan Marcin zaktywizował się nagle i orzekł tubalnym głosem:

– Tera mamy kapitalys, pluralys i demokracje. Nie będziesz pan nas ubecjom straszyć! Komuchi śmierdzące, cholera!

– Co jest „komuchi”? – spytał O’Mlett szepciem sierżanta, który odpowiedział mu w ten sam sposób:

– To samo, co karaluchy, tylko większe.

– Aha.

– Nie gadać! – warknął pan Marcin.

Radiowóz przyjechał po pół godzinie. Dowodzący policjant uśmiechnął się do sierżanta Charuja, wziął rachunek z rąk zbaraniałej pani Heli i wszyscy opuścili wspaniały hotel, na którego frontonie widniał podświetlany napis „Cudowny relaks”, a obok niewielka tabliczka „Puszeks – sp. z o.o.”

W komendzie podkomisarz Psicki, powiadomiony już wczoraj przez Warszawę o misji O’Mletta, wyjaśnił krótko sytuację:

– Puszki do konserw sprowadzają u nas dwie instytucje: zakłady rybne i jedna mała spółka, od czego chcielibyście zacząć?

– Zakłady rybne tu? Jaki ryba? Traut?

– Co to traut?

– Po polski, sku, psz... trouk, no, pts... sorry, pppsro, bludy... ptronk...

– Może pstrąg?

– Ooo, yes! – ucieszył się O'Mlett.

– Nie, to morskie ryby. Kiedyś była taka moda, że ryby wożono znad morza w góry do przerobu, a potem w puszkach z powrotem nad morze. Ale teraz to nieekonomiczne.

– No to zaczniemy od tej spółki. Oni na pewno nie robiliby czegoś, co się nie opłaca – orzekł sierżant – a jak się toto nazywa?

– Puszek. Nowobiskupia czternaście.

Po dziesięciu minutach byli znów pod hotelem. Ta sama recepcjonistka spytana o spółkę „Puszek” wskazała im pana z muszką, który poprzednio występował w roli kierownika hotelu. Nobliwy ten jegomość najpierw stwierdził, że o żadnych puszkach z Braniewa nic nie wie i ostatnio w ogóle zaprzestał sprowadzania ich skądkolwiek, później usiłował wypłacić komisarzowi potrójny koszt noclegu w ramach rekompensaty, w końcu, na dźwięk nazwiska Ciurbol, spociał się, szczerwieniął i zaczął

krzyczeń, że jest prześladowany, nachodzony, a o jakimś Ciurbolu nigdy nie słyszał.

– Szefie, coś tu nie gra – powiedział Charuj do O’Mletta, gdy wyszli na ulicę – ten Wruszką w Braniewie przyznaje się bez bicia, że wysyła puszki do Jeleniej Góry, i to przez Ciurbolę, a ten tu struga świętą Cecylię! Jestem pewien, że to on brał te puszki, a nie zakłady rybne!

Rzeczywiście wizyta w zakładach rybnych potwierdziła, te przypuszczenia. Nie tylko nie kupowano tam żadnych puszek, ale od dwóch lat nie widziano nawet ani jednej ryby. Zakłady były w likwidacji, a syndyk masy upadłościowej, młody człowiek w czarnym płaszczu do pięć i w białych skarpetkach, kazał otworzyć im magazyn, w którym znaleźli pięć tysięcy słoików byczków w tomacie, pochodzących z okresu wczesnostrajkowego, dwadzieścia arkuszy styropianu i białego kota. Kot nie był chudy i dał się pogłaskać.

– Nie tędy droga – pomyślał O’Mlett po angielsku i poprosił podkomisarza o towarzyszenie mu w ponownej wizycie w firmie „Puszek”.

Recepcjonistka nie ugryzła ich tylko dlatego, że siedziała za szybą, a pan Marcin skurczył się jakoś w ramionach i znikł. Pan w muszce zrobił się tym razem zielony i wprowadził gości do gabinetu opatrzonego wizytówką „Kamil Kwoka, właściciel”. Gdy

usiedli, podał im papierosy, a gdy odmówili, sam zapalił. Po minucie O'Mlett zwrócił uwagę na to, do czego pan prezes strząchał popiół: była to okrągła metalowa puszka, nieco niższa od szklanki, pomalowana na kolor khaki. Gdy rozmowa nie kleiła się, a gospodarz dalej gorąco zaprzeczał, że nie zna żadnego Ciurbola, komisarz sięgnął nagle po tę puszkę i zaczął się nią bawić. Pan w muszce zmienił kolor na żółtoszary i natychmiast zapalił następnego papierosa.

– Mogę? – powiedział sięgając po zielone pudełko.

– Parso proszem – odpowiedział komisarz i podsunął mu plastikową popielniczkę z napisem „coca cola”, a puszkę powoli i z zimną beczelnością schował do kieszeni.

– Jeżeli pan nie zna niejakiego Ciurbola i nie sprowadza żadnych puszek, czemu przeczy nazwa pańskiego przedsiębiorstw, to nie będziemy pana dłużej niepokoić – zakończył podkomisarz.

Pilot siedział w komendzie i nudził się. Zjadł śniadanie w bufecie, pojechał zatankować śmigłowiec, wrócił, wypił kawę, poderwał kelnerkę z kantyny i gdy nadszedł czas obiadu, musiał przerwać amory, bo ona miała pilne zajęcia. Już miał zamiar zacząć nudzić się dalej, gdy wszedł O'Mlett i podsunął pilotowi pod nos zieloną puszkę.

– Co to jest? – zapytał, usilnie pracując nad poprawnością wymowy.

– Korpus od RG-42 – bez namysłu odpowiedział pilot, który znał te granaty jeszcze z wojska i narzucał się ich do obrzydliwości.

– Ty masz pewnoszcz? Rasisz grineid?

– Pewnie, przecież każdy, kto był w wojsku, zna to cholerstwo. Nie ma tylko górnego denka i gwintu na zapalnik.

– Topsze jak cholera! – zawyrokował komisarz. – Znaczy, on to kupicz od Braniewo biznesmen, znaczy on zna Ciurbola, znaczy on roby not fajn byznes, znaczy my śledzi kantynuejszyn! Topsze!

Po chwili wszedł sierżant Charuj i zaraz na wstępie powiedział:

– Źle! Ciurbola jak nie było, tak nie ma, a myśmy stracili pół dnia na użeranie się z tą Kwoką. O tym, że Ciurbol tu jeździł, wiedzieliśmy już wczoraj w Braniewie. Źle!

Pilot popatrzył na jednego, później na drugiego, odwrócił się i poszedł na kawę.

Telefon do Warszawy nic nie wyjaśnił. Ciurbolowa się piekliła, senator Trzypotrzyłeż też naciskał, komendant groził wszystkim dymisją, nawet sprzątacze, a Ciurbol znikł jak kamfora.

– Obejrzyjcie samochód – poprosił jeszcze sierżant na zakończenie rozmowy – zadzwonimy za godzinę.

Po godzinie smętną ciszę gabinetu podkomisarza Psickiego rozdarł wściekły dzwonek telefonu.



– Dajcie mi tego amerykańca – rozkazał głos z drugiej strony. O'Mlett podszedł i wziął słuchawkę.

– Słuchacie? – ryknął inspektor Strzypiur – Słuchajcie dobrze! Tojota Ciurbola ma lewe papiery. Kupiona była podobno legalnie od faceta, który mieszka we wsi Strupy Wielkie pod Tarnowem i nazywa się Kowalski! Pewnie też lewe nazwisko! Musiał mieć kontakty z Ciurbolem, więc lećcie tam i sprawdźcie! Cześć!

– Czeszcz – mruknął O'Mlett i zaklął w dialekcie stanu Miluoki. Sierżant powiadomiony o treści rozmowy pokręcił głową z dezaprobatą.

– Staremu odbiło – powiedział – przecie my mamy szukać Ciurbola, a jego w tej wsi na pewno nie ma, bo czym by tam pojechał? Jak chciałby kupić nową gablotę, to żona wiedziałaby, nie? Raptem nie ma go czterdzieści osiem godzin, a stary dostaje kota, gania śmigłowiec w te i nazad po sześć milionów za godzinę, leci czy stoi, i za czyje pieniądze, ja się pytam?

– Order is order – warknął komisarz.

– Orderu za tego Ciurbola na pewno nie dostaniem!

Po pół godzinie byli w powietrzu. O'Mlett zagłębił się w mapie, usiłując odszukać te Strupy Wielkie, ale po piętnastu minutach zrezygnował i oddał mapę sierżantowi:

– Ne mogem czytaćz – stwierdził. Charuj spojrzął na mapę:

– Dlaczego? Normalne nazwy: Szczybeńnica, Rzeszotowice, Ściurbizna, Przekrzaki, ooo! Strupy Kościelne!...

– No Koszczelne, a Welke! – poprawił komisarz.

– Jak są Kościelne to będą i Wielkie. Kościelne ważniejsze od Wielkich. Przy Kościelnych Wielkie są małe!

– What?

– Kościelne, znaczy jest tam kościół, a przy kościele cmentarz i władza duchowna, czyli to duża wieś, a nie jakieś tam Strupy Wielkie, gdzie może są raptem trzy chałupy na krzyż – wyjaśnił sierżant – proboszcz powietrzem nie żyje, więc musi mieć parafian.

– Co je proboszcz? – zapytał O’Mlett.

– Różne rzeczy: kawior, melbę, ale w poście tylko szczupaka faszerowanego po żydowsku – poinformował pilot nie odrywając oczu od horyzontu.

– Pan komisarz pyta, co je, a nie co ji – uśmiechnął się sierżant – proboszcz to prezbiter, no, duchowny, szef parafii, jakby taki komendant dzielnicowy.

Minęli zadymiony Bytom, na prawo na horyzoncie ukazały się góry. Za ich plecami słońce zbliżało się już ku zachodowi, ku któremu kraj dążył jako całość, oni zaś uparcie dążyli na wschód. Za Proszewicami skręcili na południe i po piętnastu minutach zamaczyła biała wieża kościoła.

– To Kościelne – powiedział pilot – Wielkie muszą być gdzieś obok. Przed zmrokiem muszę być w Tarnowie, żeby zatankować. Duża wieś, musi być posterunek!

– Ty nas wygrużycz i come back rano, yes? – zawyrokował komisarz.

Posterunek był. Mieścił się sto metrów od plebanii w jakimś adaptowanym chlewiku, a na obdrapanej ścianie wisiała nowa tablica z orłem w koronie. Wewnątrz, za drewnianą barierką, siedział posterunkowy w czapce zsuniętej na tył głowy i czyścił paznokcie wyciorem od pistoletu. Na wchodzących spojrział niechętnie i odłożył wycior:

– Panowie se życzą?

– Komisarz O'Mlett i sierżant Charuj z komendy stołecznej – sierżant pokazał legitymacje.

– To z tego helikoptera, co tu latał? – zainteresował się posterunkowy i podniósł się z krzesła, przewracając je przy okazji.

– Mamy do was sprawę, panie posterunkowy – powiedział sierżant, podówczas gdy O'Mlett lustrował liczne plakaty i obwieszczenia wiszące na ścianach – szukamy wsi Strupy Wielkie, a na mapie takiej nie ma. To musi być gdzieś w pobliżu, prawda?

– Strupy Wielkie to tu – odrzekł posterunkowy.

– Na mapie napisane, że Kościelne.

– To nowa mapa. Dawniej, za komuny były Wielkie, ale jak władza nastąpiła, to zara przeinaczyli na Kościelne – wyjaśnił policjant przesuwając czapkę na czoło.

W tej chwili O'Mlett odwrócił się od ściany i wskazał kolorowy wykres, na którym widniało jak byk: „grafik służby patrolowej posterunku Strupy Wielkie” – Ooo, Welke – ucieszył się – fajń, ti som doma!

– Kto tu sprzedaje samochody? – spytał sierżant.

Posterunkowy zaczerwienił się jak piwonía polana keczapem.

– Detalicznie nie wiem, no, niby można dostać...

– Kowalskiego znacie?

– No, niby Kowalskiego, znaczy... wszyscy wiedzom, żeście przy-lecieli... ja tu mieszkam... znaczy Kowalskiego, to ja... – posterunkowy wiał się i ważył słowa, wreszcie jednak służbowa lojalność przeważała, bo wystrzelił nagle jak z armaty:

– Idźcie na plebanię!

Sierżant jednak nie myślał mu darować – ten Kowalski, to kto? – zapytał zbliżając twarz do wystraszonego oblicza posterunkowego.

– No, niby, taki jeden, ale on się tak nie nazywa.

– A jak się nazywa?

– Idźcie lepiej na plebanię! – zaciął się posterunkowy i widać było, że tylko wpuszczenie mu głodnego szczura w spodnie może

skłonić go do dalszych wypowiedzi na ten temat. O'Mlett położył sierżantowi rękę na ramieniu i ten zaprzestał dalszej indagacji. Wyszli na zewnątrz i popatrzyli w kierunku kościoła, którego wieża widoczna była na tle drzew.

– Kto może być ten Kowalski? – zastanawiał się głośno Charuj – pewnie ktoś ważny, jeżeli ten stójkowy tak się trzęsie, ale kto może być ważny w takiej wiosce? Wójt, ksiądz, karczmarz, młynarz? Bo przecież nie nauczyciel!

Drzwi plebani otworzyła im zażywna niewiasta w średnim wieku.

– Ksiądzka nie ma – powiedziała nie pytana – wyjechał!

– A kiedy wróci? – zapytał sierżant z głupia frant.

– Ja tam nie wiem – odparła i usiłowała zamknąć drzwi, ale Charuj trzymał dłoń za framugę.

– Kowalskiego zastaliśmy?

Niewiasta przestała zamykać drzwi i zainteresowała się:

– Panowie do Kowalskiego? On tera jest w Warszawie.

– Odejdź Franciszko – powiedział ksiądz, który nagle pojawił się w otwartych drzwiach za jej plecami – panowie do jakiegoś Kowalskiego, słyszałem. A w jakiej sprawie, może coś pomogę?

Obaj policjanci popatrzyli na siebie i komisarz O'Mlett powiedział, zacinając się przy trudniejszych słowach:

– Łi, sorry, my rade... kupycz kar... sorry...

– Aaa! – powiedział ksiądz – to panowie pomylili adres. Tu nie sprzedaje się samochodów, tu jest kościół!

– Taak? To my przepraszamy – zakończył sierzant i pociągnął O'Mletta za rękaw – a gdzie tu można przenocować?

– Są pokoje przy gospodzie – odparł duchowny i zamknął drzwi.

Gospoda była dokładnie naprzeciwko i przeraźliwa blondyna, która prowadziła ten przybytek, nie robiła trudności.

– Jeden pokoik czy dwa?

– Może być jeden – zawyrokował sierzant, który przejął inicjatywę. Pieniądzy nie mieli przy sobie za dużo, a po doświadczeniach z Jeleniej Góry woleli nie ryzykować z apartamentami. Ale tutaj o czymś takim w ogóle nie mogło być mowy. Pokoik był obskurny, z dwoma łózkami, krzywą szafą bez jednej nogi i telewizorem na stoliku przykrytym serwetką w zielone aniołki o mordach diabłów i fioletowe serca przebite strzałami. Pomimo włączenia go do sieci telewizor nie zadziałał, co niepomrotnie zdziwiło O'Mletta i nie wywarło żadnego wrażenia na sierzancie.

– Panowie, słyszałam, w interesach? – zapytała blondyna, gdy jedli kolację złożoną z fasolki po bretońsku z przedwczorajszym pieczywkiem.

– Uhm – odpowiedział Charuj.

– To panowie przylecieli tym śmigłowcem?

– Yes – odrzekł tym razem komisarz. Blondyna na dźwięk angielszczyzny ożywiła się nagle:

– To może ja coś pomogę, panowie z jakiej branży?

– Kowalski – krótko zasygnalizował sierżant z pełnymi ustami.

Kobieta spojrzała na niego jakoś dziwnie i zmieniła temat:

– To może ja przyniosę panom herbatkę. A może coś mocniejszego do poduszki? Bo jutro to pewnie panowie nie będziecie mogli, albo jeden z panów – dodała domyślnie. Na rybio-zdziwione spojrzenie sierżanta wyjaśniła odchodząc w stronę bufetu:

– Za kółkiem lepiej za dużo nie pić!

## **Dzień trzeci, środa**

Jutrzenka ich nie obudziła, bo okna były od północy i wychodziły na szambo, wobec czego obudziła ich szambiarza. Wycie urzędnika połączone z fetorem podniosłoby z trumny denata po sekcji, a nie tylko policjantów o czułym powonieniu. Wstali i sierżant przyniósł z dołu kubek wody i jedną trzecią lusterka. Maszynkę do golenia mieli, bo O'Mlett kupił jednorazówkę w Jeleniej Górze, wobec czego po pół godzinie wyglądali jako tako i mogli udać się na śniadanie. Na dole dostali kawę z ekspresu i przedwczorajszą bułkę, bo świeżych jeszcze nie dowieźli. Do bułeczki dostali pasztet firmowy składający się głównie z pieprzu.

Właścicielka użerała się z szambiarzem, który nie chciał przyjechać drugi raz i dopiero po dłuższej chwili zajęła się gośćmi.

- Panowie jadą do Warszawy?
- A czemu pani tak myśli? – spytał sierżant.
- No bo jeśli panowie chcą z Kowalskim...



Sierżant namyślał się chwilę, jak nie spalić akcji nie przemyślającym pytaniem, w końcu zaryzykował:

– Nie musi być on, może być kto inny.

– Ale pan dowcipny! – roześmiała się blondyna perlistym rechetem – może być inny, byle był Kowalski, ha, ha, ha! Dać panom jeszcze kawki?

Śmigłowiec przyleciał po godzinie i powitała go tym razem cała wieś.

– Dziękujemy, zapraszamy! – pożegnała ich właścicielka gospody, inkasując nawet niezbyt wielkie pieniądze. Widać nie była pewna, czy się jej jeszcze kiedyś tych dwóch nie przyda. Ksiądz wyszedł do ogrodu i patrzył jak odlatują.

– No i co? – zapytał pilot, gdy znaleźli się w kabinie.

– No i gówno. Straciliśmy pół dnia i noc, żadnego Ciurbola tu nie ma, Kowalskiego też, chociaż on to nie jest facet z wątrobą i uszami, tylko wieloosobowy twór, coś na kształt osoby prawnej albo raczej bezprawnej.

– Ni pies, ni wydra, coś na kształt świdra – stwierdził pilot.

– Nypes nywidła cosznasztauszfydła – radośnie potwórzył O'Mlett – jakaś poeta powedział toto?

– Tak. Wieszcz polityki i gospodarki. A skoro mówimy o poetach – tu sierżant pochylił się do przodu, aby być lepiej słyszany – to

robiłem raz chałupę jednego poety, bo miał włam na pasówkę i zwinęli mu parę fantów, to mówię wam, kota można było dostać, jak zacząłem czytać te jego wiersze. Ni cholery nie szło zrozumieć o czym facet nawija! Teraz słyszałem, wielki z niego bojownik o demokrację i wolność słowa, a wtedy z każdego komitetu nagrody brał za tę swoją awangardę. Nazywał się też tak jakoś awangardowo!

- No, jak? – spytał pilot. Sierżant myślał przez chwilę:
- Kleofas Maria Wieprzowy.
- Śmales je wiepsofy – poważnie podsumował O'Mlett.
- To też jemu tylko o szmalec chodziło. I wtedy i teraz.
- Byznes is byznes, normalka.

Do Warszawy dolecieli jeszcze przed południem. Inspektor szalał, bo siedziały mu na głowie teściowa, żona i córka, która chciała jechać do Jarocina i ostatnio w ogóle była anty. Cały wydział chodził na paluszkach, w toalecie męskiej pokazał się napis: „nie siusiać na deskę, to działanie polityczne”, a kotka ze stołówki powiła czworaczki. Co prawda każde z kociąt miało po jednej głowie, ale i tak uznano to za zły omen.

W godzinę po powrocie zebrali się na naradzie u inspektora. Szef siedział u szczytu stołu z twarzą żaby, która straciła właśnie w bajorze fotel prezydencki.

– Taaak – powiedział po minucie milczenia. – Śledztwo nie przyniosło dotychczas zadowalających wyników. Powstały nowe elementy, ale zasadniczo problem nie został rozwiązany, a to naraża nas na dezaprobatę społeczną, nie mówiąc o naciskach ze strony różnych osób. Kto ma jakieś propozycje?

– Czy ten Ciurbol, to rzeczywiście taka świetlana postać, że musimy wyłazić ze skóry? Co miesiąc znika w Polsce dwudziestu takich, z których osiemnastu odnajduje się u kochanek albo w najbliższym barze za rogiem! – nierozważna wypowiedź aspiranta Doliwy-Doliwskiego-Szepcica głęboko zasmuciła inspektora, a zelektryzowała obecnych.

– Ale nie za każdym kolęduje senator z opozycji – mruknął sierżant Charuj, a i tak wszyscy go usłyszeli. Strzypiur spojrział groźnie w jego kierunku, ale postanowił zignorować uwagę, przeniósł więc wzrok na O’Mletta i zapytał głęboko zatroskanym głosem:

– A pan komisarz?

– Ya myszlem.

– No, pewnie, trzeba myśleć, ale co konkretnego ma pan do zaproponowania?

– Brakuye morda...

– Jaka morda?

– Ciurbola morda brak. Ya myszlem denat żyje, albo nie żyje. Żyje to czekacz come back, nie żyje to śledzi killer, znaczy ten co mordzył. W Juesej ne ma body – no morda. Mus śledzi famyly, znaczy żona i druga rodzyna!

– O rany – jęknął starszy aspirant Bambetel, który nie był od początku wprowadzony w sprawę, a inspektor zarządził krótko:

– Jeszcze poszukamy wśród jego kontrahentów handlowych, na nękanie rodziny przeszukaniami zawsze czas i nie wiadomo czy się prokurator zgodzi. Do roboty, panowie!

O’Mlett zabrał sierżanta Chruje i pojechali na Krzykleszczaka pięć. Procedura wpuszczania do willi była tym razem krótsza, bo pani Józefa wyszła przed dom i zarządziła:

– Otwórzta, ja tych glinów znam!

– Ya proszem papiery tojota – uśmiechnął się O’Mlett, a matrona, odziana tym razem w czarny spodniom, który upodabniał ją do średnio napompowanej dętki od traktora, skinęła szponem w kierunku ochroniarza. Ten poszedł w głąb domu i wrócił po chwili niosąc żądane dokumenty. Dowód rejestracyjny był w porządku i nic komisarzowi nie powiedział. Ubezpieczeń nawet nie przeglądał, natomiast rzucił się jak harpia na umowę kupna-sprzedazy. Na pozór wszystko było w porządku, nawet stempel wydziału skarbowego, który pobrał podatek od transakcji, tylko jedno zdziwiło

sierzanta: skąd oryginał tego dokumentu znajduje się w domu Ciurbola? Przecież wydział komunikacji na jakiejś podstawie musiał wydać dowód rejestracyjny, i gdyby nawet zwrócił oryginał, to nie bez najmniejszej wzmianki na ten temat. Nie pokazał jednak po sobie, że coś zauważył i z uśmiechem oddał papier komisarzowi, mówiąc przy tym lekko:

– A może pani Ciurbol pożyczycyła nam ten dokument?

Matrona zeszytniała, bo nie wiedziała jak postąpić.

– Ja tam niczego bez męża nie dam, kurna! – orzekła.

– Oczywiście – uspokoił ją sierżant – to jest pani dokument i nie zamierzamy go zabierać, ale przydałaby się nam kserokopia. Nie wiadomo, co się działo z tym samochodem od wyjazdu męża, prawda?

Sierżant nie czekał na decyzję tylko wręczył papier jednemu z ochroniarzy.

– Niech pan zrobi ksero tu gdzieś obok – powiedział tak, jakby nie przywiązywał do tej sprawy żadnej wagi. Ochroniarz wziął papier i wyszedł.

– Czy pozwoli nam pani na obejrzenie samochodu – z dworską grzecznością powiedział Charuj po pięciu minutach, gdy ksero znalazło się w kieszeni O'Mletta. Dama znowu zeszytniała i widać było jak myśli szaleją jej po ubogich zwojach, a przeciążenie iskrzy

na stykach. Po kilkunastu sekundach oczopląs ustał, czarne dętki wygięły się tu i ówdzie i niepewnie jęknęły:

– No... dobra. Możem iść.

W samochodzie znaleźli parę niedopałków po kamelach, komórkowca leżącego na prawym siedzeniu, płaszcz rzucony do tyłu i trochę suchego błota na obu przednich chodniczkach. W schowku były rękawiczki, okulary słoneczne, dwie prezerwatywy, długopis, pusty magazynek od jakiegoś pistoletu, ze złamaną sprężyną i paragon na trzysta dwanaście pięćdziesiąt z nieczytelnym mazurem określającym towar i kompletnie zamazaną pieczętką z tyłu. Z całego tekstu dawał się odczytać wyraz „Tarnów”. Sierżant schował ten paragon do kieszeni spodni udając, że wyjmuje chusteczkę. Całą resztę zostawili na miejscu i podziękowawszy serdecznie za współpracę poszli do poloneza.

Za rogiem sierżant zatrzymał samochód i powiedział do komisarza:

– No to coś mamy. Teraz warto wiedzieć, czy wydział komunikacji rzeczywiście wydał dowód na podstawie tej umowy i co to jest ten „Tarnów” na pieczętce!

– Czif telefonął do Jelenia Góra, że papery lewe – przypomniał sobie O'Mlett.

– Skoro od wczoraj o tym wiedzą, to czemu nic nie zrobili?

Komisarz myślał przez chwilę żując intensywnie jakieś słowa, wreszcie powiedział:

– Znaczy poczebna dupka!

– Co?

– Dupka. Było na lustro w hotel, pamiętacz?

– Aaa! Dzielnicowy Urząd Przeciwdziałania Korupcji Administracji, ha, ha, ha! Przecież to był żart!

– Żart, ale dupka poczebna – zimno odparł O'Mlett.

Po dwóch godzinach już wiedzieli: wydział komunikacji nigdy nie wystawiał dowodu rejestracyjnego w oparciu o taką umowę. W celu stwierdzenia tego faktu trzeba było wywlec kierowniczkę wydziału z imienin u cici. Komputery nic nie pomogły i kierowniczka musiała osobiście przerzucić pół tony papieru, aby niczego nie znaleźć. Czerwona z wysiłku i zła, jak buldog długo nie karmiony, została odwieziona na przyjęcie, podówczas kiedy wszyscy inni zdążyli się już zdrowo obezreć i upić. Tak czy tak, był to dla kierowniczkę podwójny cios.

– Kolera – powiedział O'Mlett na tę wieść – Dla teszczowy komendanta będzie problem! I dla pan senator też, że ony take kolegi od Ciurbol!

– To nie Stany, szefuniu! Problem to jest wtedy, jak brakuje maśła albo wódki, takie numery to u nas normalka. Pół Warszawy jeździ na lewiźnie i nie narzeka!

Komisarz popatrzył na sierżanta jak na wariata. Rozumiał, że ktoś może mieć lewe dokumenty, ale nie pojmował, jak można nie przywiązywać do tego wagi. Zbaraniał jeszcze bardziej, gdy Charuj dodał ze śmiechem:

– Jeden komendant wojewódzki trzy lata jeździł kradzionym audi i co? I nic!

– Wonderful – powiedział O’Mlett z zachwytem.

– Mowa! To jest prawdziwa demokracja, a nie to, co u was, gdzie policjant rąbie do ciebie na ulicy z armaty kaliber czterdzieści pięć! No i kto jest bardziej w Europie, wy czy my? Teściowa jeszcze będzie miała pretensję, że te psy jej zięcia wykrył coś, co jej zdaniem nie jest prawdą!

Komisarz wstał i uścisnął dłoń sierżantowi.

– Condolence – powiedział serdecznie.

Po następnej godzinie doniesiono im z laboratorium, co jest napisane na tym paragonie na trzysta złotych z groszami, który znaleźli w skrytce tojoty. Hieroglif na awersie odczytano jako „bu sk wło”, a pieczętka na rewersie zawierała napis „PHWiZ Best, sp. z o.o. Strupy Wielkie woj. Tarnów”. O ile treść pieczętki ucieszyła obu policjantów, to awers paragonu pozostawał słodką tajemnicą piszącego.

– Co to może być buskwło za przeszło trzysta złotych? – zapytał sierżant kolegę, który przyniósł mu wynik ekspertyzy.



– A cholera nagła wie – odpowiedział tamten – sami żeśmy sobie łeb nad tym łamali. A czy to ważne?

– Czort go znajet – odparł Charuj.

Komisarz O'Mlett w ogóle nie brał udziału w rozszyfrowywaniu hieroglify, bo język polski znał słabo, a handlowego wcale, więc takie proste dla każdego tubylca określenia, jak upiór dzienny, zwis męski wielobarwny czy ćwiczki dziecięce z obsieków, stanowiły dla niego szczyt językoznawstwa.

W tej sytuacji sierżant zadzwonił do żony przyjaciela, która kiedyś sprzedawała w Cedecie, później w Smyku, a ostatnio na własny rachunek.

– Buty skórkowe włoskie! – powiedziała bez zająknięcia – co ty, chłopie, w Polsce nie żyjesz?

– A nie mogą być butelki składowane własne, albo bure skarpetki włóczkowe?

– Mogą, ale tyle nie kosztują. Jesteś burek skołowany władzą! – zakończyła rozmowę żona przyjaciela.

Chwilowo nie było nic do roboty, więc O'Mlett usiadł do sporządzania planu dalszego śledztwa i zażądał pomocy Charuja.

– Ty pomagaj mi kombynowacz! – wyjaśnił.

– Posiedzisz trochę u nas, to prędko nauczysz się kombinować.

– Ya mówi kombynowacz, nie ośjukwacz!

– Aha.

Ledwie zasiedli do tego planu, gdy zadzwonił telefon. Głos po tamtej stronie był służbowo beznamiętny:

– Jest trup w samochodzie na Krzykleszczaka. Interesuje to was?

Wypadli jak oparzeni. Polonez rzęził, wył, robił co mógł, ale i tak zeszło im piętnaście minut nim znaleźli się na miejscu. Szczęśliwie medycyna sądowa jeszcze nie dojechała, więc zdążyli. Na robu Krzykleszczaka i Błogosławionych wbite w latarnię stało stalowe audi 80. Za kierownicą siedział ksiądz w sutannie i koloratce, na oko pięćdziesięcioletni. Był w pasach, nie pokrwawiony, widać uderzył lekko, bo poduszka nie zadziałała i wskazywał na to przód samochodu. Wokół stało pięciu z drogówki i dwa radiowozy, a gapię kłębili się na chodnikach.

– Na pewno komunisty go zabiły! – dowodziła głośno jakaś babcina.

– A gdzie tam, sam widziałem, jak mafia go goniła takim szarym z anteną! – oponował starszy pan w słomkowym kapeluszu. Inni wymieniali uwagi, ale dominował pogląd, że duchowny poległ za sprawę.

Charuj podszedł do otwartych drzwi audi i przyjrzał się nieboszczykowi.

– To ksiądz ze Strupów Wielkich – powiedział do O’Mletta.

– Znasz go? – zainteresował się policjant z drogówki.

– Raz go widziałem.

– Gdzie?

– Na plebanii.

– To dziwne, bo z dokumentów wynika, że gość nazywa się Marian Brzdyglak i z zawodu jest bezrobotny!

Charuj parsknął śmiechem:

– Bezrobotny ksiądz w Polsce, toż to paranoja! Macie jeszcze jakieś papiery?

– Tak. Dowód rejestracyjny, ubezpieczenia, różne takie inne i akt kupna-sprzedaży.

– Pokażacz my tego paper! – O’Mlett niemal wyrwał policjantowi z ręki dokument i zaczął go gorączkowo przeglądać.

– Kowalsy – wykrzyknął nagle – on kupyc tego kara od Kowalsky!

– Tak samo, jak Ciurbol. I oba samochody są na Krzykleszczaka. Albo zbieg okoliczności, albo jakiś większy przekręt! – mruknął sierżant chowając akt do kieszeni. Drogówka opierała się trochę, ale ustąpiła, gdy Charuj powołał się na inspektora.

–Jak coś jeszcze znajdziecie, to dajcie znać, cześć! – pożegnał czarnych kolegów w żółte paski i wsiedli do poloneza.

– Tych dwóch to pewno z UB – powiedziała babina dalej stojąca na chodniku.

– Nie ma już UB – zaproponował starszy pan w kapeluszu.

– Muszom być ancyhrysty, bo kto tego księdza zabił? No sam pan powiedz, kto? – upierała się babina.

– No widzisz, prosto ze Stanów trafiłeś do UB – uśmiechnął się Charuj do O’Mletta.

W komendzie przejrzeni dokładnie akt kupna-sprzedaży i ocenili sytuację. Przybywało szczegółów i powoli zaczął wyłaniać się dziwny obrazek. Jeszcze nic dobrze nie pasowało z tego puzzla, ale było coraz więcej kawałeczków układanki. To, że pan Ciurbol znikł i dotychczas się nie pojawił, stawało się powoli rzeczą drugorzędną. Zdawać by się mogło, że i rodzina też nie była zbyt wstrząśnięta jego przedłużającą się nieobecnością, widać interes szedł dobrze.

Zrobiło się późno i O’Mlett, przeciągnąwszy się ze skrzypieniem stawów, postanowił, że na dzisiaj dosyć i czas iść do domu. Obwieścił to sierżantowi dobitnie i jednoznacznie:

– My szpim do samo jutro!

Okazało się jednak, że pobożne życzenia nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością, bo zaledwie komisarz pojawił się w swojej kwaterze, ciuchy rzucił w ką i odkręcił prysznic – zadzwonił telefon.

– Kolera! – zaklął O’Mlett, poślizgnął się na mydle, wyrznął łbem w kran i zostawiając mokre ślady na parkiecie podbiegł do aparatu.

– Yes – powiedział dysząc.

– Co jest? – zapytał damski głos z oddali – to ty, Ziutek?

– No!

– Co no, kretynie! Miałeś być u Marzeny o dziesiątej? Miałeś? I co? Waldek z Jolką stoją jak głupie, a ty się obcyndalas! Jak za pięć minut nie będziesz, to se możesz, wiesz co!

– Sorry...

– Co szoruj, co szoruj, palancie! Jak ja ci...

O’Mlett z westchnieniem położył słuchawkę i wrócił pod prysznic. Namydlił się dokładnie i wtedy zadzwonił telefon. Bieg z namydlonymi stopami okazał się szczytem ekwilibrystyki, tak że dopadł aparatu dopiero po siódmym dzwonku:

– O’Mlett!

– Serdecznie pana przepraszam, pomyłka – powiedział męski, nobliwy głos ciepłym barytonem.

Komisarz rzucił słuchawkę bez odpowiedzi i pohołendrował z powrotem. Mydło zasychało mu w uszach. Pod prysznicem okazało się, że leci wrzątek, więc policjant zawył i odskoczył, przy okazji zwalając do brodzika butelkę z szamponem. Gdy udało mu

się w końcu ustawić mieszadełko na godziwą temperaturę wody, piana sięgała mu do kolan, a para była taka, że nie widział własnych palców. Po otwarciu drzwi pochłodziło i wtedy zadzwonił telefon.

– Bloody... – powiedział O’Mlett prawie na głos i kąpał się dalej.

Po dwunastym dzwonku telefon umilkł i nastąpiła cisza, jak matką zasiał. Sprzed domu dobiegało tylko przejmujące wycie alarmu samochodowego, ale że ten samochód wył tak codziennie po parę godzin od przyjazdu O’Mletta do Warszawy, więc nie robiło to na nim najmniejszego wrażenia.

Telefon zadzwonił wówczas, gdy inspektor wkładał spodnie od piżamy i właśnie lewą nogą nadepnął na prawą nogawkę. Aparat stał przy tapczanie, więc wystarczyło tylko przewrócić się w jego stronę, ale dzwonek okazał się tak agresywny i zaskakujący, że O’Mlett przewrócił się właśnie w stronę przeciwną, doczołgał się jednak w miarę sprawnie i wypalił do słuchawki:

– Welky ślak by cze trafił!

Po tamtej stronie przez dwie sekundy była cisza, a później rozległ się nieco zdziwiony głos Charuja:

– Komisarzu?

– Yesss! – powiedział O’Mlett z wydechem, jak astmatyczny wieloryb.

– Chciałem cię powiadomić, żebyś rano nie czekał na wóz, tylko przyjechał autobusem. Samochód nam ukradli.

– Z komenda?

– Tak, spod budynku. Dyżurny zauważył i wyskoczył, ale mu przystawili kopyto do brzucha, wsiedli i pojechali.

– Kto?

– Wiadomo kto. Mafia.

– Czeba żeby bedom szukacz!

– Człowieku! Poloneza szukać? On już do tej pory ma numery przebite, szyby wymienione i w niedzielę będzie na gieldzie!

– Czeba żeby złapiom! – upierał się komisarz.

– Mało prawdopodobne. A nawet jak wykryją, to prokurator pogłaszcze ich po główce, wypuści i cześć pieśni.

– Lasiego?

– Bo za mała szkodliwość społeczna. Żeby prokuratorowi ukradli, to byłaby większa. Poza tym świadków nie było, bo dyżurny siedział akurat sam. Powiedzą, że to on ich napadł, a nie oni jego i co im zrobisz?

– Dyżurny je poulisjant! – z mocą stwierdził O'Mlett.

– No to co? Jeszcze gorzej, bo można go oskarżyć o nadużycie władzy. No, dobra, idź spać, cześć do jutra!

O'Mlett położył się i natychmiast zasnął. Mitsubishi przed blokiem wyło do czwartej nad ranem, później wysiadł mu pewnie akumulator, więc wyło na pół gwizdka. Nikomu nie przyszło do głowy sprawdzić, dlaczego wyje. Nawet właścicielowi, który o piątej przyszedł, spokojnie go otworzył i pojechał.



## Dzień czwarty, czwartek

Koło dziewiątej udało się O'Mlettowi załatwić samochód, dostali mazdę, którą przedtem jeździła żona zastępcy komendanta po zakupy, a jeszcze przedtem całe pokolenia nerwowych Japończyków. Samochód jakoś się poruszał, choć niechętnie, więc pojechali do zakładu medycyny sądowej.

Doktor Bebeszyński akurat jadł śniadanie po porannych zajęciach i zastali go nad kubkiem kawy i papierem po kanapkach.

– Aaa! Chodzi o tego wczorajszego z wypadku na Krzykleszczaka? Zrobiliśmy go rano, właśnie przepisują protokół. I tak macie szczęście, bo Episkopat szybko odpowiedział!

– Po kolerem Epyskoupat? – zdziwił się O'Mlett.

– Widać, że pan kolega nie tutejszy – z uśmiechem zauważył doktor – jak byłby ich, to by na sekcję nie zezwolili, tylko wyznaczili własny zespół. I tak mieli opory.

– No i co? To nie był ksiądz? – spytał Charuj bardziej dla porządku, bo wåtpliwości miał już wczoraj.

– Ależ skąd! Od razu wiedziałem – z dumą podkreślił lekarz.

– To jakoś widać, jak się otworzy? No nie wiem, jakiś niezatarty ślad na sercu albo woda święcona w płucach na ten przykład?

– Na sercu to on miał ślad, ale po świeżym zawale. A paluchy to miał od roku niedomyte i upaprane smarem. Tak mu się wgryzło, że spirytus nie brał. Z niego taki ksiądz jak ze mnie arcykapłan buddyjski. Poza tym nad kciukiem miał tatuaż złodziejski i majora na ramieniu. Musiał siedzieć i to długo.

Protokół przyniesiono po piętnastu minutach i można było wracać.

– Nie przysyłajcie mi takich świeżych, bo zawsze mam wrażenie, jakbym gościa dobijał – powiedział na odchodnym doktor Bebeszyński.

– Cześć pracy, szanowni towarzysze!

Z zakładu zadzwonili do firmy, gdzie powiedziano im, że na Krzykleszczaka jest jakieś zbiegowisko i może to ich zainteresuje. Cóż było robić, pojechali. Rzeczywiście pod latarnią na rogu Krzykleszczaka i Błogosławionych klęczał tłum złożony z kilkudziesięciu babć, palił świece i śpiewał nowennę. Dwóch krawężników opartych o murek okalający jakąś willę przyglądało się temu z rezygnacją.

Charuj przedstawił się i zapytał, o co chodzi.

– Podobno jakiegoś księdza tu wczoraj zabili. Wyszli my rano w patrol, patrzem, a tu klęczom i się modlom. Myślelim, że jakiś cud znowu na szybie albo na latarni, ale te dane osoby złożyli wyjaśnienie, że to na okoliczność morderstwa – służbiście zameldował jeden z chłopców. Obaj byli w nowiutkich moro i widać było, że nie stąd i świeżo po kursie.

Postali, popatrzyli, babcie zmieniały się w klęczeniu, przybywało trochę młodszych, a oczy O'Mletta robiły się coraz bardziej kwadratowe.

– Czeba poyinformuje te ludże, że ne kszonc! – zwrócił się w końcu do sierżanta, ale ten ujął go za rękę:

– Daj spokój, komisarzy. I tak ci nie uwierzą, a jeszcze osobażą. Naród musi odreagować, to teraz takie modne słowo. Jak ktoś szkaluje kogoś plotąc trzy po trzy albo tłucze szyby sąsiadowi, co był w partii, to nie popełnia wykroczenia, tylko odreagowuje. Wygodne, co?

– Yes, to wczora pod komenda odreago...wyly samochót!

– Właśnie, samochód. Skoro już tu jesteśmy, to może wpadlibyśmy do Ciurbolów?

W willi na Krzykleszczaka pięć atmosfera była ponura. Pani Józefa odpowiadała monosylabami, a jakiś młodzieniec rozwalony

na fotelu bez przerwy gadał przez telefon komórkowy okazując przybyłym wyraźne lekceważenie. Gadał przy tym nic nie znaczące bzdury w rodzaju „jak będziesz coś do mnie miał, to zadzwoń”, albo „co robisz, łusy, bo mnie już gacie z nudów opadają” i całym swoim zachowaniem podkreślał, że ma komórkowca oraz dużo pieniędzy i czasu.

Mąż pani Józefy dotychczas nie powrócił, czemu bezsprzecznie winna była policja, na ulicy był makabryczny wypadek, który „zostawił ją całą w nerwach, bo podobnież ktoś się temu człowiekowi przysłużył”, syn właśnie wrócił z Wysp Kanaryjskich, bo się dowiedział, że ojca nie ma już czwarty dzień i pani Józefa „z tego, kurna, bałaganu już na oczy patrzeć nie może, nie?”

– A ten samochód z rogu, to gdzie zabrali? – zapytała niby obojętnym tonem, po minucie ciszy.

– Na parking. Przyjedzie właściciel i odbierze – równie obojętnie odpowiedział sierżant, obserwując ją spod oka.

Pani Józefa chciała jeszcze coś powiedzieć, ale wstrzymała się nagle, pokręciła się trochę po hallu bez wyraźnego celu i spytała:

– A wy macie do nas co jeszcze, bo muszem iść do kosmetyczki. Zmarszczki mi od tego wszystkiego wyleźli!

– Nie, dziękujemy. Widzę, że pani zajęta, to porozmawiamy innym razem. A w tej przybudówce, to co jest, w tej tam z tyłu?

– Tam? Aaa, taaam! To pralnia, suszarnia, sauna się stawia i takie różne, jak to w gospodarstwie!

– Aha. Dziękujemy.

– Ya chcem to zobaczycz – powiedział O’Mlett, gdy wyszli z willi na ulicę.

– Na to potrzeba nakazu prokuratora, chyba że właściciele sami się zgodzą – odparł sierżant – też chętnie bym to zobaczył, może jakiś warsztatik czy magazyn, bo właściwie tak dokładnie to nie wiadomo, czym ten Ciurbol się zajmuje.

Ledwie O’Mlett z sierżantem pojawili się w komendzie i zdążyli wypić kawę, gdy wezwano komisarza do telefonu. Dzwonił dyżurny z parkingu wraków:

– Zgłosił się niejaki Grdys Rafał, zamieszkały w Warszawie, z ważnym dowodem rejestracyjnym na to audi z wypadku, po tym księdzu, które przywieźli wczoraj. Wydać mu?

– Nie wydacz! Zaczimacz ten czowiek i audi, zara yadżem! – zarzycał O’Mlett w słuchawkę, rzucił ją na widełki, wywlócił Charuja zza biurka jak burego kundla i wskoczyli w samochód.

Na parkingu byli po dwudziestu minutach. Przy audi stał młodzieniec, którego widzieli w willi na Krzykleszczaka. Dalej bawił się komórkowcem i popatrzył na nich z bezczelnym wyrazem twarzy:

– Co, jeszcze jakieś trudności?

– Dowód rejestracyjny proszę – warknął sierżant.

– Ten tu już widział – odparł młodzieniec najbeszczelniej w świecie i zabrał się do otwierania drzwi w samochodzie.

Sierżant przytrzymał drzwi kolanem.

– Dowód rejestracyjny proszę – powtórzył zimno.

– Co jest, napad? Mafia jakaś? Bandziorów łapcie, a nie porządnym ludzi – powiedział bardzo spokojnie młody człowiek, sięgnął do kieszeni, ale nagle odwrócił się i zaczął uciekać w stronę otwartej bramy. Pracownik parkingu i O'Mlett zbaranieli, zaskoczeni błyskawiczną reakcją młodzieńca, ale Charuj nie dał się zwieść pozornym spokojem właściciela audi, tylko natychmiast wystartował za nim. Nie miałby jednak szans w pogoni za młodym i szczupłym facetem gdyby nie to, że akurat w bramie pojawiła się lora wioząca jakiś straszliwie połamany wrak. Młodzieniec zawahał się na ułamek sekundy i to wystarczyło, by sierżant go dopał. Złapał go za rękę, wykręcił do tyłu i powlókł z powrotem.

W dyżurce z młodzieńca opadły emocje i sflaczał jak kapeć na deszczu. Z dokumentów wynikało, że nazywa się rzeczywiście Rafał Grdys, mieszka na Krzykleszczaka pięć i jest biznesmenem, co potwierdzała różowa wizytówka. Dowód rejestracyjny na audi wystawiony był na Józefę Grdys-Ciurbol pięć dni temu przez warszawski dzielnicowy wydział komunikacji, był właściwie ostemplowany

i podpisany przez urzędnika, którego stopień służbowy, imię i nazwisko wyraźnie widniało na pieczętce. A więc wszystko było niby w porządku.

– A kto to był ten lewy ksiądz, którego znaleziono po wypadku za kierownicą? – zapytał Charuj.

– A bo ja wiem? Nie było mnie wtedy w Polsce! – spokojnie odpowiedział młodzieniec – paszport leży w domu, możecie sprawdzić.

Zabrali dowód rejestracyjny i wrócili do komendy. Razem z dowodem wyjętym z kieszeni trupa rzekomego księdza to już był drugi dowód wystawiony na ten samochód. Akt kupna-sprzedaży podawał zupełnie inne nazwisko. Zdawać by się mogło, że co najmniej trzy osoby jednocześnie kupiły ten sam wóz. Posterunkowy Pipsztak zabrał te wszystkie papiery i pojechał wyjaśniać w wydziale komunikacji, ale szczęśliwie nie w tym, w którym kierownicza musiała wczoraj przerzucić pół tony papieru, stamtąd Pipsztak mógłby nie wyjść z życiem.

Po godzinie wezwał ich inspektor. Był wzburzony, czerwony miał zacięte usta i sapał.

– Co wy wyprawiacie – wycedził – u mnie telefony urywają się od interwencji! Teraz napadliście i pobili syna Ciurbola, właśnie pojechali robić obdukcję! Sprawa stoi w miejscu, a wy napadacie na ludzi bez przyczyny!

– A dwa dowody rejestracyjne na jeden samochód, i to oba lewe, w tym jeden należący do trupa, to nie jest przyczyna? – zapytał Charuj.

– To są tylko papierki, a nie ludzie! Mnie tu naciskają, a wy co robicie? Bijecie!

– A pan inspektor wi cały zajszcze? – spytał O’Mlett, przyglądający się spokojnie rozindyczonemu przełożonemu.

– Wi! Opowiedziano mi przez telefon ze szczegółami!

– A yak wele prawda w to szćiegóły?

– Prawdę wykażą dokumenty i zeznania!

– Właśnie – potwierdził sierżant – dokumenty, czyli dwa dowody, oba lewe, na ten sam wóz, do tego należący do Ciurbolowej i kupiony w Strupach Wielkich od faceta, który prawdopodobnie nie istnieje! Jak Pipsztak wróci, będzie je pan miał na biurku!

– Ya prosię... – zaczął O’Mlett, ale inspektor przerwał mu brutalnie:

– Ja nie potrzebuję waszej samokrytyki tylko dobrej roboty!

– Ya prosię drugi sprawa, ten sprawa dla jaki polsky Szerlok Holms!

Inspektor spojrział na O’Mletta i zreflektował się. W końcu ten facet wróci po jakimś czasie do swojego Chicago i tam opowie o swoich postrzeżeniach. W końcu prowadzi sprawę



samodzielnie, wiele widzi, a jeszcze więcej się domyśla. Inspektor postanowił ostrożnie ochrzaniać O'Mletta, w końcu to przedstawiciel od niedawna zaprzyjaźnionej organizacji, która nie chroniła już brzydkich imperialistów lecz prawdziwych demokratów. Teraz imperialiści to byli ci drudzy. Inspektor uśmiechnął się najpiękniej jak umiał, a i tak wyglądał jak żaba cierpiąca na fluksję:

– Nooo, nie bierzcie tego tak do serca. Poradzicie sobie, tylko trzeba z czuciem. To są, wiecie, wpływowi ludzie.

Ludzie rzeczywiście byli wpływowi. Po południu zadzwonił osobiście senator Trzypotrzyłeź i poinformował inspektora, że to jest sprawa polityczna i bezprzykładny atak na żywą tkankę demokracji, przeprowadzany z premedytacją przez elementy o krańcowo obcej ideologii. Inspektor zrozumiał z tego, że on jest tym elementem ssącym żywą tkankę czegoś tam i zapewniał, że śledztwo jest w toku, ale zaszły nowe okoliczności itd., itd.

Synek pani Ciurbolowej jakoś tej obdukcji chyba nie zrobił, bo wyjechał znowu na jakieś wyspy, czy gdzieś tam, a jeżeli zdążył to zrobić w trzy godziny, to znaczy, że cholernie mu się spieszyło.

Inspektor poinformował o tym O'Mletta z ulgą w głosie, a Charuj, przysłuchujący się rozmowie zza biurka, uśmiechał się tylko jakoś dziwnie.

– Czego rehoczecie? Nasza sytuacja nie jest wesola – powie-  
dział przełożony biorąc za klamkę.

– A zna pan inspektor kawał o wielbłądach?

– Nie.

– Mówi młody wielbłąd do starego: a po co nam garb? Do ma-  
gazynewania tłuszczu! A wielkie racice? Do chodzenia po piasku!  
A taka długa sierść? Do wytrzymywania zimna pustynnych nocy!  
Tato, to dlaczego my mieszkamy w zoo?

Inspektor udał, że się uśmiecha.

Po południu zadzwonili z Tarnowa, że ksiądz w parafii Strupy  
Wielkie żyje i ma się dobrze, natomiast sprowadził ostatnio parę  
samochodów bez podatku i cła. O’Mlett wysłuchał informacji, po-  
dziękował i zadumał się rozkręcając i skręcając długopis.

– Co? – zapytał sierżant.

– Ksionc kupy kary w Nemeć...

– W Niemczech – poprawił Charuj.

– Wnemszech, y co? Żiaden cło?

– Takie prawo.

– Laszego?

– Bo księdzu wolno nie zapłacić cła za przedmioty kultu i służą-  
ce do celów kultowych.

– Kary som pśedmnioty kultu? Ktosz tu modlicz do kary?

– Neeee! No, jak ci to wyjaśnić, ksiądz potrzebuje samochodu żeby pełnić posługę w ramach kultu. Skapowałeś?

– Yes. To normalne. A ile?

– Co ile?

– Ile kara...

– Samochodów – poprawił znów sierżant.

– Yes, ile samochoduf żaden cło na jeden ksionc?

– No wiesz... przepis tego nie wyjaśnia. Wolno i już!

– Fajn. A Kowalsky może bycz ksionc?

– Wątpię, nie sprzedawałby tak, na chama i w dodatku z lewy mi papierami. To musi być kto inny, po cholere montowałby lewe papiery, jak wozy są legalne! Pewnie dał do innych parafii.

– Topra. Ty dzwony do Tarnowa ony szukajom druga człówek od samochody w mieszkanie ksionc!

– W parafii – domyślił się Charuj.

– Yes?

Kiedy sierżant skończył rozmowę, komisarz usiadł naprzeciw niego, dźgnął go palcem w pierś, powtórzył ten ruch na sobie i powiedział z mocą:

– My muszy do prokurator! My szukacz w domu Ciurbola!

Charuj zamyślił się. Nie nad tym, czy to rozwiązanie byłoby dobre, bo wiedział, że tylko to właściwie im pozostało, ale nad

sposobem zmuszenia prokuratora do podjęcia takiej decyzji. No bo właściwie jakie oni mieli dowody na to, że w domu Ciurbola coś jest nie tak? Lewa rejestracja? Może. I co jeszcze? Dwa dziwne akty kupna-sprzedaży? No, powiedzmy, że to jest poważna poszlaka. Ale samo zniknięcie Ciurbola, jego interesy w Braniewie i Jenieju Górze niczego do sprawy nie wnoszą. No, może zniknięcie byłoby ewentualnie podstawą do przeszukania, gdyby prokurator chciał myśleć, jak oni! Toteż po chwili podniósł głowę i powiedział do O'Mletta:

– No, dobra, spróbujemy. Ale ostrzegam cię, że z tego może nic nie wyjść!

– I see! – krótko odrzekł komisarz.

Zadzwonili, choć dochodziła piąta. Prokurator dzielnicowy jeszcze był.

– No, jeżeli panowie tak musicie... – odpowiedziała sekretarka.

Prokurator był w średnim wieku, niewysoki, w okularach, czarny i był kobietą. Właśnie pół roku temu rozszedł się z mężem i gotów był żądać najwyższego wymiaru kary za sam fakt, że ktoś jest chłopem. W ogóle noszenie spodni jako stroju uświęconego tradycją wydawało się prokuratorowi ciężkim przestępstwem podlegającym ściganiu z urzędu, tylko przez nieudolność legislacyjną nie przewidzianym w kk. Dorastająca córka prokuratora też nadziała

się miesiąc temu na jakiegoś nieodpowiedzialnego wyrostka, wobec czego prokurator musiała udawać, że nie wie, w jaki sposób ten chybiony związek nie zaowocował.

Wejście O'Mletta z sierżantem do gabinetu wywarło na prokuratorze jak najgorsze wrażenie. Po pobieżnym wysłuchaniu sprawy prokurator z miejsca objawiła swoje stanowisko:

– Czego chcecie od tej biednej kobiety?

Sierżant, który o prokuratorze już trochę słyszał, postanowił w imieniu O'Mletta i własnym zastosować taktykę przewrotnej demagogii zakładającej, że czarne jest białe i na odwrót.

– Ależ od niej nic nie chcemy, natomiast uważamy, że wymaga ona ochrony z naszej strony i daleko idącej pomocy w sytuacji w jakiej się znalazła! Zaginął jej mąż, przyznam, że nie jesteśmy tym szczególnie wzruszeni (tu sierżant uśmiechnął się porozumiewawczo) i działamy w ramach obowiązku, ale ona została tym faktem postawiona w szczególnie trudnym położeniu! Jej syn, jak się okazało, nieodpowiedzialny młody człowiek, też nie ułatwia jej życia. Wydaje się nam, że jedynie przeszukanie, oczywiście delikatnie przeprowadzone, pozwoli nam na uzupełnienie dowodów przeciwko tym obu mężczyznom. Mamy nadzieję, że podzieli pani nasze zdanie!

Prokurator zamyśliła się. Dowody nie wskazywały, co prawda, że pani Józefa Ciurbolowa stanowi krystalicznie czyste naczynie

uciśnionej niewinności, ale jest w końcu kobietą i ma wrednego chłopca, który gdzieś perfidnie odpłynął i synka-pasożyta, niewątpliwie odbicie charakteru tatusia, wrabiającego ją na każdym kroku.

– Czego spodziewacie się po tym przeszukaniu? – spytała w końcu prokurator, bawiąc się kolczykiem w lewym uchu. Widać było, że argumenty sierżanta padły na kamienistą glebę, ale mimo to pracownicy wschodzą.

– Dowodów przeciwko Ciurbolowi – krótko wystrzelił Charuj.

Oskarżyciel publiczny spojrziała do lusterka w kosmetyczce, poprawiła lok nad prawym uchem i postanowiła zadać dodatkowe pytania:

– Czy ona ma tylko tego syna nieudacznika?

– Ma jeszcze dorastającą córkę, która też pewnie przysparza jej trochę kłopotów. Wie pani, ta dzisiejsza młodzież...

– Ale nic pewnego nie wiecie o tych kłopotach?

– Widzieliśmy ją raz. Taka sobie dziewczyna – tu sierżant spuścił oczy, by nie zdradzić przypadkiem szczerzej niechęci do tej pannicy, jaką powziął do niej wyłącznie na skutek obrazowej relacji O'Mletta.

Komisarz nie odezwał się dotychczas ani razu, co w miarę upływu czasu coraz bardziej niepokoiło prokuratora. Potwierdzał tylko

relację sierżanta skinieniem głowy i z powagą na twarzy przysłuchiwał się przebiegowi dyskusji. Wreszcie prokurator nie wytrzymała:

– A jakie jest pańskie zdanie? – zapytała, po raz pierwszy używając formy „pan”, jako że dotychczas mówiła per „wy” albo bezosobowo.

– Ya tysz prosię – odparł O’Mlett. Prokurator z lekka zbaraniała:

– Znaczy kto prosię, pan? Dlaczego tak pan uważa? I kto jeszcze jest prosię?

Tu sierżant postanowił wtrącić się i zażegnać w zarodku powstający konflikt:

– Pan komisarz jest Amerykaninem i przyjechał do nas na wymianę kadr. Po polsku mówi z obcym akcentem, ale wszystko rozumie.

– Aha – niepokój prokuratora przygaśł, ale zrodziło się zainteresowanie. Komisarz był wprawdzie mężczyzną, ale z innego świata, więc nie podlegał miejscowej sankcji za męskość.

– No to co będzie z tym prosięciem?

– Ya tysz prosię order do pśeśjukanje!

– No, zobaczymy, może dla pana to zrobię – uśmiechnęła się prokurator – zadzwoncie do mnie rano, jeżeli będzie decyzja pozytywna, to ktoś podskoczy i odbierze postanowienie! – zakończyła twardo prokurator i dla pewności nie podała im ręki.

Wyszli. W drodze do komenty O'Mlett siedział milczący i przeżuwał w sobie jakieś skojarzenia, od czasu do czasu machając dłońmi rytmicznie, jakby dyrygował. Powiedział wreszcie po dłuższej przerwie:

– Ty masz żona?

– Mam, a bo co?

– Ty very good znaś kobety.

– No, może nie very, słyshałem tylko trochę o tej prokurator.

Było już po siódmej, więc wstąpili na kolację do pizzeri na rogu, bo w komendzie o tej porze bufet już świecił pustkami. Kelnerka podeszła z obrażonym wyrazem twarzy:

– Panowie zamawiają?

– Poprosimy dwie pizze i dwie kawy – powiedział Charuj, a O'Mlett dodał:

– Y pywo!

– Ja prowadzę – powiedział sierżant, ale nie zaoponował.

– Ne ma problem, dwa godziny.

– Dwa dziny też podać? – spytała kelnerka.

– Nie tylko piwo.

– No to niech się może panowie zdecydują! – kelnerka obraziła się jeszcze bardziej i odeszła kołyszając biodrami.



Piwo dostali od razu, na pizze musieli poczekać. Siedzieli i gadali o dalszych planach, które mogły rozsypać się całkowicie, gdyby prokurator uparła się i nie pozwoliła. Gdy po półtorej godzinie wyszli na ulicę, przy ich maździe dwóch wyrostków, mniej więcej dwunastoletnich, grzebało w zamku. Na widok wychodzących nawet nie uciekli, wyciągnęli tylko śrubokręt z zamka i odeszli z pięć kroków. Obaj mieli czapki bejsbolówki założone daszkami do tyłu i długie koszule wyłożone na dresowe spodnie. O'Mlett zrobił ruch w ich kierunku, ale Charuj przytrzymał go za rękę.

– Daj spokój. No, co zrobisz? Uderzyć ci nie wolno, a złapiesz. to musisz odstawić do izby dziecka, skąd po godzinie ich wypuszczą, a ty będziesz miał papierkowej roboty na pół dnia i po cholere ci to?

O'Mlett spojrzął na sierżanta – to je para... no, yak to sze mówi?

– Co para? Parasol, parafina, Paragwaj, paragraf...?

– No! Paranoja! Może paragraf tysz!

– Co poradzisz, taki świat.

Późno już było, przechodnie znikali z ulic, a pojawiały się grupki młodzieńców, by opanować miasto do następnego rana. Nie należał do rzadkości widok siedemnastolatka za kierownicą ostatniego modelu jaguara czy hondy, na którą nie tylko on, ale i jego ojciec nie mógłby zarobić uczciwie. Wrzaski i piski pod drzwiami drogich

lokali nasilały się w miarę upływu czasu i to wszystko było normalnym kosztem demokracji, która pozwoliła robić pieniądze, ale jeszcze nie nauczyła ich wydawać.

– Czeszcz – powiedział O’Mlett do sierżanta pod swoim domem  
– wracasz do żiona?

– Nie. Jest z dzieciakem na wczasach u ciotki.

– To chodź do mnie. Lodówka full pywo, szpacz je gdzie!

– No, dobra. Oprowadzę tylko wóz pod komendę, jeżeli stamtąd ukradną, to nie nasza wina, a tu nie ma gdzie postawić.

Komisarz wszedł na górę, poupychał bałagan po kątach i usiadł przed telewizorem. Na wszystkich programach szły same reklamy, niektóre tak bzdurne, że mózg się lasował, więc zgasił w końcu to pudło i w tym momencie zadzwonił do drzwi Charuj niosący siatkę reklamówkę, bynajmniej nie pustą.

## **Dzień piąty, piątek**

Z samego rana zgłosił się Tarnów. W Strupach Wielkich był młody ksiądz, na probostwie zaledwie od miesiąca, trzy dni temu rzeczywiście nie było go w domu, miał gospodynię po starym księdzu, prawdopodobnie tą, którą widzieli, a gospodyni miała dwóch szwagrów, obu nieciekawych. Jeden nazywał się Artur Kitwasiński, ksywa „Bolo” i aktualnie siedział w Barczewie, a drugi, Marian Brzdygłak, nie pojawił się od trzech dni, choć ostatnio ciągle kręcił się koło plebanii.

Sierżant i O'Mlett walnęli się dłońmi, jak po zdobyciu trzech punktów w koszykówce. Przybył następny kawałek układanki.

– Szperajcie dalej, koledzy – powiedział Charuj do słuchawki – interesuje nas facet o nazwisku Kowalski i skąd się u niego biorą samochody. Ma to jakiś związek z plebanią, ale pewnie nieścisty!

Po godzinie Charuj westchnął ciężko, wypił kawę celem dodania sobie odwagi i zadzwonił do prokuratury.

– Jest! – wrzasnął po krótkiej rozmowie – montujemy ekipę! Nie ma na co czekać, bo nam ta Ciurbolowa też gdzieś zniknie! Pipsztak, leć do prokuratury i odbierz postanowienie, balonem.

– Balonem będzie śipko? – zapytał O’Mlett z uśmiechem.

– Z Pipsztakiem będzie nas trzech, zabierzemy jeszcze Farfoclińskiego na czwartego – powiedział Charuj nerwowo, wyciągając z szuflady formularze protokołów – co mówiłeś, że będzie szybko?

– Balonem.

– To takie stare powiedzenie, teraz nie używane.

– Very good pofiedzenie, ya muszy pamientacz!

Sierżant nalał sobie jeszcze jedną kawę i wypił duszkiem – zimna, cholera – powiedział – po czorta ja to świństwo żłopię!

– Żłopesz, bo masz kaca – wyjaśnił O’Mlett rzeczowo.

– A ty nie masz?

– Moya kac very good amerykansky kac, polszky gorszi!

– Ale teraz chyba masz polskiego, nie?

– Oćiwyszczę – zgodził się komisarz bez oporów.

– Ciekawe, co wyjdzie z tymi puszkami z Jeleniej Góry – zastanowił się Charuj, nagle zmieniając temat – może coś, a może nic. W końcu każdy może handlować nawet psim gównem, jeżeli jest na to popyt. To, że z ruskich zapasów idą skorupy od granatów

zaczepnych, to normalka, oni nawet łódź podwodną sprzedadzą, byle ktoś kupił, ale na co komu takie pancerne puszki?

O'Mlett wzruszył ramionami i pytanie na razie pozostało bez odpowiedzi, tym bardziej że pojawił się Pipsztak z postanowieniem w ręku.

Pojechali we czterech, Pipsztak prowadził. Na Krzykleszczaka byli po dwudziestu minutach i ostrożnie ominęli trzy babcie palące na jezdni jedną świeczkę. Babcie odsunęły się ze zgorzeniem. Przed posesją numer pięć stał jeden ochroniarz i nie zareagował szczególnie czujnie. Na widok gości powiedział tylko coś do radiotelefonu i otworzył bramę. Wjechali i brama zamknęła się. Pani Józefa Ciurbolowa szczęśliwie była w domu i po pięciu minutach ukazała się im w fioletowym peniuarze w różowe kwiaty i zielone motylki. Córki w domu nie było, bo podobno „poszła na fortepian, bo ma, kurna, dziecko dryg”. Co prawda zdaniem O'Mletta, dryg to ona miała zupełnie do czego innego, ale nie podzielił się z nikim tym spostrzeżeniem.

Wyjawiwszy cel wizyty i odczekawszy atak wścieklizny u pani Józefy, zabrali się do roboty.

Po obejrzeniu wnętrza domu wypchanego inkrustowanymi meblami, stołowego w stylu stary Gdańsk, sypialni w stylu późny Ludwik XVIII, garderoby w stylu wczesny Gierek i kuchni w stylu

zwyczajny burdel, przeszli do garażu. Tam stała tojota, którą już widzieli, nie tknięta od czasu ich poprzedniego pobytu, a pod ścianą leżały cztery paczki owinięte w szary papier, których też nie ruszyli oglądając samochód dwa dni temu.

Po odwinięciu papieru okazało się, że są tam zielone puszki, śliczne, nowiutkie i puste, w łącznej ilości około dwustu sztuk. Po obejrzeniu garażu przeszli na piętro domu. Tam były pokoje dzieci, drugi hall, łazienka i wolny pokój wyglądający na gościny. Sypialnia córki oklejona była plakatami z Jamesem Bondem, Mikelem Jacksonem i innymi takimi, pełna różnych kosmetyków i porzrzucanych fatałaszków, z których żaden nie był czysty. Pościel też była szara od brudu i nie zmieniana przynajmniej z kwartał.

Pokój syna, który wczoraj wyjechał, był prawie pusty, ale wyglądał tak, jak by przeszedł przez niego huragan o sile 12 stopni w skali Bouforta. Przewrócone krzesło, otwarty tapczan, a pościel, również przeraźliwie brudna, zrzucana na podłogę. Obrazu zniszczenia dopełniał stół z wyłamaną jedną nogą, stojący przy ścianie, a na jego blacie widniały liczne koła zacieków od mokrych naczyń różnej wielkości. W tapczanie, na jego dnie poniewierało się trochę jakiegoś białego proszku, który kaprał zebrał pieczętowanie do foliowej torebki.

Przybudówka z tyłu domu, którą poprzednio pani Józefa określiła jako pomieszczenie gospodarcze i pralnię, była zamknięta aż na trzy kłódki i patentowy zamek. Rozpoczął się długi i nerwowy proces poszukiwania kluczy, których nigdzie nie można było znaleźć. Dwie z kłódek były tragicznie zardzewiałe, jak by ich nikt nie otwierał przynajmniej od roku, chociaż podobno pomieszczenie było pralnią. Policjanci obeszlą budynek ze wszystkich stron, ale nie było tam żadnego innego wejścia, tylko małe okienka na wysokości dwóch metrów, zaopatrzone w zbrojone i matowe szyby za solidnymi kratami.

Pani Józefa rozgdakana, czerwona i zła jak głodna tygrysyca usiłowała za wszelką cenę wyperswadować im, że tam nic nie ma i poszukiwanie kluczy nie ma sensu. Gdy po pewnym czasie stało się jasne, że klucze się nie znajdują, sierżant zwrócił się do O'Mletta z pytaniem:

– Ty tu jesteś boss, co robimy?

– W Juesej jest order, jest – musimy otwieracz. On nie otwieracz, my otwieracz! A tu?

– Tu tak samo – potwierdził Charuj.

– No to go!

Sierżant skinął na Farfoclińskiego z łomem i po kilku wprawnych ruchach kłódek nie było. Trochę gorzej było z zamkiem, ale

też puścić. Drzwi po wewnętrznej stronie były z dołu okopcone spalinami i stał przed nimi jaguar w kolorze szary metalik.

Pani Józefa wpadła w furję:

– Jeszcze zobaczyta, hycle! Co wy myślitą, kurna, że ja tak to puszczę? Z roboty wasz wypieprzom i do pierdła, kurna, pójdziecie! Chamy zatracone, psia ich mać! Człowiek robi, a ony rozwalajom, kurna, hitlerowce! – chciała gdzieś bieć, zapewne do telefonu, ale Charuj zastąpił jej drogę:

– Jest pani tu potrzebna – powiedział spokojnie – zadzwonić może pani później.

Trzech ochroniarzy zebrło się przed budynkiem, ale żaden z nich nie uczynił ani jednego ruchu, by czynnie poprzeć racje chlebobdawcy. Ciurbolowa na ten widok potoczyła nienawistnym wzrokiem wokoło, ale została i weszła do środka.

W głębi pomieszczenia, za jaguarem, rzeczywiście była pralnia. Stała tam olbrzymia pralka otwierana z góry, podłączona do sieci, z zamkniętą klapą, mogąca pomieścić chyba z pół tony bielizny. O'Mlett na jej widok powiedział.

– Ooo! – a gdy Charuj spojrział na niego pytająco, wyjaśnił:

– Emerykany pralka from szolnjerze, woysko, army. Rosumiesz?

– Aaa – potwierdził sierżant – koszarowa?



– Yes.

Raptem jakiś ruch powstał za nimi, a gdy odwrócili się, to okazało się, że Ciurbolowa zemdłała. Leżała w swoim fioletowym pe-niuarze na masce jaguara, z artystycznie odrzuconą ręką, ale dalej była czerwona jak indor cierpiący na różyczkę. O'Mlett spojrzął i powiedział.

– Ambulas – po czym spokojnie powrócił do lustrowania pomieszczenia.

Pipsztak skoczył do radiowozu i za kilka minut przed bramą pojawiła się karetka. Pani Józefa leżała dalej w tej samej, niezbyt wygodnej pozycji, i widać ścierpły jej plecy, bo pojękiwała ledwie słyszalnie, ale dalej uparcie udawała trupa. Charuj pilnował jej cały czas, ale nie ruszał i nie usiłował ratować. Gdy pojawił się wreszcie lekarz, podniósł ją i poklepał po buzi, Ciurbolowa otworzyła oczy, rozejrzała się teatralnie dokoła i wsparła głowę na piersi lekarza ruchem zdychającego łabędzia. Lekarz posadził ją i zaczął przygotowywać strzykawkę, na widok której pani Józefa ożyła.

– Zemdliło me – powiedziała szeptem – to przez te gliny cho-lerne!

– Co jej jest? – zapytał sierżant lekarza, gdy ten dalej udawał, że przygotowuje strzykawkę.

– Nic, histeria – odpowiedział medyk.

W pewnym momencie O'Mlett skinął ręką i powiedział do sierżanta:

– Chocz tutaj! – Charuj podszedł i zobaczył w rogu pomieszczenia okrągłe, metalowe pudło z zakręcaną pokrywką, w tej chwili uchyloną, mniej więcej do połowy wypełnione białym proszkiem.

– Czo to jeść? – spytał inspektor.

– Proszek do prania, kurna, a co ma być! – powiedziała Ciurbolowa, która już całkiem ożyła i stała za nimi. Farfocliński nabrał trochę tego do foliowej torebki i oznakował. Pani Józefa patrzyła na tę czynność z niepokojem, ale powiedziała siląc się na lekceważenie.

– Można se uprać skarpetki, na więcej nie starczy!

– Warto zobaczyć, czy nie ma tego więcej – bardziej do siebie niż do komisarza powiedział Charuj i zaczął szperać między różnymi garnkami, puszkami i szmatami zalegającymi podłogę. O'Mlett robił to samo, tylko z drugiej strony pomieszczenia, a w pewnej chwili podniósł klapy pralki i zajrzał do środka. Widok, który ujrzał, mógłby obalić bizona! W pralce leżały zwinięte zwłoki mężczyzny! Co do tego, że są to zwłoki, nie można było mieć wątpliwości, bo wskazywał na to zaduch uwolniony otwarciem klap, które zamknęły się automatycznie, jak tylko komisarz je puścił.

– Serżant! – zaryczał O’Mlett służbowo i tyle było w jego głosie podniecenia, że wszyscy obecni natychmiast znaleźli się przy nim, on zaś wskazał pralkę i powiedział złowieszczo:

– W szrodek leży trupa!

Cztery głowy, w tym jedna Ciurbolowej, znalazły się nad otworem.

– Ale pasztet – powiedział Charuj – nie ruszajcie nic, trzeba poczekać na wydział zabójstw i ekipę. Ciurbolowa, która mdlała poprzednio z powodu jaguara, teraz nie mówiąc ani słowa pozwoliła wyprowadzić się na zewnątrz. O’Mlett osobiście przymknął drzwi budynku i stanął plecami do nich.

– Kto to? – zapytał.

– A kto ma być? Ciurbol – odrzekła pani Józefa.

Ekipa przyjechała prawie natychmiast. Dowodzący starszy aspirant wysłuchał relacji i zabrał się do roboty. Panią Józefę odprowadzono do domu i nie wpuszczano w pobliże budynku gospodarczego. Nie była szczególnie wstrząśnięta śmiercią męża, natomiast była bardzo zainteresowana dalszym losem dóbr doczesnych. Nie chciała siedzieć w hallu ani w stołowym, lecz postawiła sobie stółek w rogu kuchni i tam usiadła, nie ruszając się z tego miejsca mimo sugestii policjantów.

Gdy minęło pierwsze wrażenie, O’Mlett zaczął się zastanawiać i wezwał do pomocy sierżanta. Drzwi puściły dopiero na skutek

brutalnej siły, innego wejścia nie było, więc nie ulegało wątpliwości, że ktoś zamordował Ciurbola, wsadził go do pralki i zamknął pomieszczenie na trzy kłódki i zamek. Kto to mógł być? Czyżby żona albo córka, albo obie razem? Syna nie było w Polsce, pasażer z jazdy do Braniewa ponoć był już w Kaliningradzie. Ochroniarze? Możliwe, ale czemu zadali sobie tyle trudu. Tak czy owak O'Mlett postanowił zatrzymać Ciurbolową i kazał odwieźć ją na komendę. Pani Józefa spojrzała na niego wściekle, ale nie było rady. Czekano tylko na powrót córki. Gdy ta pojawiła się wreszcie wczesnym popołudniem, matkę zabrano.

Córką śmierć ojca też zbyt nie wstrząsnęła. Posiedziała trochę, popłakała bardziej na pokaz i nastawiła sobie jakąś wściekłą muzykę, którą nawet O'Mlett, przyzwyczajony do amerykańskich zespołów, uznał za wrzaskliwą.

Ekipa pracowała wytrwale. Oglądając zwłoki Ciurbola nie zauważono żadnych ran mogących powstać poza pralką, natomiast gdy wyciągnięto go z jej wnętrza, okazało się, że pod nim leży kupa papierowych dolarów, dokładnie upranych. Aspirant Luzek z ekipy, zdziwiony niepomniernie tym widokiem, poleciał z tym do O'Mletta, a ten usiadł, otrząsnął się jak pies po wyjściu ze studni i wybałuszwszy oczy milczał przez chwilę.

– Znaczy ten, co roby morda, zostawia dolar? Fantastik!

Tu wtrącił się Charuj:

– Coś mi się zdaje, że to nie Ciurbolowa ani córeczka. Te by forszę zabrały. Pogadam z tą małą, co robiła w niedzielę, dobra?

– Yes – zgodził się O'Mlett.

Po przydługiej rozmowie, podczas której panienka starała się wszelkimi dostępnymi jej środkami wykazać, jak bardzo pogardza wszystkimi glinami, a sierżantem w szczególności, Charuj ustalił, co działo się w niedzielę na Krzykleszczaka pięć.

Rano wszystko było normalnie, tylko nie przyszedł na zmianę jeden ochroniarz, bo zachorował. Było więc dwóch i one dwie: matka i córka. Pożarty się o jakąś duperelę i córeczka uparła się, że nie pojedzie do stryja na imieniny, bo go serdecznie nie lubi. Wyśleła jednego ochroniarza, Mietka, po papierosy, bo jej zabrakło. Mietek poszedł, a matka tymczasem zabrała drugiego i pojechała do stryja. Po cholereę zabierała ze sobą tego osiłka, Gwidona, nie wiadomo, bo do niczego nie był jej potrzebny.

– Matka lubi, jak chodzi za nią goryl z gnatem, bo czuje się wtedy dowartościowana – wyjaśniła dziewoja i przeszła do dalszego ciągu powieści.

Otóż koło jedenastej matka z Gwidonem pojechali taksówką, bo ojciec zabrał tojotę. Ona czekała jak głupia na powrót Mietka, w końcu zamknęła chałupę na patyk, spuściła psy i poszła. Nie było

jej może pół godziny, wracając spotkała Mietka z papierosami, ochrzaniła go i oboje wrócili. Nic się nie działo, psy chodziły, więc je zamknęła, zostawiła Mietka i znów poszła w miasto. Jak wróciła wieczorem, to ojca jeszcze nie było. Wszystko.

O'Mlett wysłuchał relacji i pojechał do komendy przestuchać panią Józefę Ciurbolową. Nie zamknęli jej jeszcze na dołku, więc nie trzeba było jej sprowadzać. Żałobna wdowa w zasadzie potwierdziła zeznania córki do chwili swojego wyjazdu na imieniny, a po powrocie miała dwóch świadków w domu i nijak jej było mordować małżonka. W tej sytuacji O'Mlett ją zwolnił i kazał odwieźć do domu.

– Ja się z wamy, glinamy, jeszcze, kurna, policze – rzekła pani Józefa na pożegnanie.

W komendzie nie było co robić, więc komisarz zjadł obiad, wziął kanpkę dla Charuja i pojechał na Krzykleszczaka. Na rogu Błogostawionych nie było już babć, bo przenieśli się pod posesję numer pięć. Nie paliły tu świeczek, natomiast opowiadały każemu, kto chciał i nie chciał, jak to komuna zadźgała Ciurbola.

– Przyjechały tu, moja pani, we czterech, a jakim samochodem, moja pani kochana! Ledwie weszli, pobyli trochę, to zara przyjechała trupiara i go wynieśli, moja pani, a krwi to było, ooo, tyle, pani słodziutka! Jeden to był ten, co tu przy księdzu stojał i się

uśmiechał, moja pani, ancychryst jeden, a ten Ciurbol, pani szanowna, to był człowiek! Dzień dobry raz mi powiedział, a nie tak, jak inne ludzie, pani kochana, że też ich piorun boski na miejscu nie zabije!

Babcie wpuścili O'Mletta do środka, ale ledwo wszedł, to opłynął bramę.

Po zabranii doczesnych szczątków Ciurbola ekipa centymetr po centymetrze przekopywała pomieszczenie gospodarcze. Przyjechał jakiś ekspert od pralek, przystawił sobie stołek i grzebał w niej naukowo, dolary suszyły się na prześcieradle, a córeczka i mama siedziały w hallu na górze i warczały na każdego, kto się tylko zbliżył.

O'Mlett, który zwiedzał dolne pomieszczenia i akurat był w kuchni, usłyszał nagle jakieś stuki dochodzące z dołu i po chwili w rogu uchylił się segment podłogi wykładanej terrakotą, a stojący na nim stołek, na którym uprzednio siedziała Ciurbolowa, przewrócił się i potoczył pod zlewozmywak. Podłoga podniosła się jeszcze bardziej i w szparze pokazała się twarz jednego z ekipy:

– Oooo! – powiedział i wylażł otrzepując portki z kurzu. Okazało się, że z kuchni do przybudówki prowadzi krótki tunel mający swoje ujście przy ścianie, przyrzucone szmatami. O'Mlett z Charujem nie znaleźli go, bo odkrycie zwłok Ciurbola

uniemożliwiło dalsze poszukiwania czegokolwiek, a teraz ekipa natrafiła na to przejście.

Znalezisko zmieniało postać rzeczy i O'Mlett zagłębił się w rozmyślaniach, patrząc tępo przez okno na babcie pod bramą, których jakby przybyło.

– Znaczy, że Ciurbola nie musiał koniecznie zabijać ktoś trzeci, nawet znający przejście, bo wychodząc nie mógłby przyrzucić szmatami wejścia do tunelu w pralni, a zakładając, że nieboszczyk wlaź tam sam, trudno było zrozumieć jego dalsze postępowanie!

– Kolera! – zaklął komisarz w miejscowym dialekcie i zadzwonił do zakładu medycyny sądowej, gdzie powiadomiono go o decyzji szybkiego sekcjonowania i oględzin zwłok z uwagi na ich stan. O'Mlett z ulgą przyjął to do wiadomości i pomyślał, że pewnie ktoś možny musi maczać w tym paluszki, bo z dotychczasowej praktyki wynikało przynajmniej tygodniowe czekanie na ekspertyzę. Następny telefon do pracowni chemicznej wyjaśnił sprawę białego proszku do prania. Ekspert bez mrugnięcia powieką rozpoznał w tym amfetaminę i obiecał na wieczór dać oficjalny protokół.

Charuj, po zjedzeniu kanapki przywiezionej przez O'Mletta, siedział w stercie papierzysk, które znalazł na górnej półce ozdobnego regału. Było tam wszystko, co dusza zapragnie, a więc rachunki za światło, gaz i mieszkanie, kopie PIT-ów w różnych wzorach



i kolorach, z których większość opiewała na same zera, złote zaproszenia na śluby i chrzciny, jakieś pokreślone akty kupna-sprzedaży na samochody, których w willi nie było, trochę prywatnej korespondencji pisanej przez półanalfabetę, pogięte świadectwo ukończenia zasadniczej szkoły zawodowej w kierunku układacz glazury, dyplom uniwersytecki ukończenia studiów na wydziale astronomii, dwie rozkręcone rolki papieru toaletowego, w tym jedna różowa, trzy dowody osobiste męskie, paszport na nazwisko Fafuła Alojzy, zezwolenie na posiadanie broni myśliwskiej przez Gapowicza Franciszka Dionizego, używane wkładki do butów numer czterdzieści jeden, paragon z zakupu „kurzielm” na sumę trzy i pół miliona, otwarta paczka podpasek always i inne szpargały – o łącznej wadze ładnych kilkunastu kilogramów.

Charuj wygruził to wszystko na podłogę, usiadł po turecku i zaczął przeglądać. Po godzinie osłabł, szczególnie wzruszył go dyplom z astronomii wystawiony przez Uniwersytet Jagiellński na nazwisko Ciurbol Zenon, który w zestawieniu z dyplomem układacza glazury przedstawiał się imponująco, tym bardziej że opiewał ukończenie obu fakultetów w tym samym czasie i w miastach oddalonych od siebie o siedemset kilometrów.

W rogu półki regałowej znalazł się jeszcze medal za długoletnie pożycie małżeńskie, bez legitymacji i jakieś odznaczenie z Leninem

i czerwoną gwiazdą na złotym tle. Oba przedmioty sierżant odłożył, jako z pewnością nie nadane Ciurbolowi.

Po godzinie O'Mlett pomógł mu trochę i uporządkowali jakoś to panoptikum. Wsadzwszy ważne dokumenty w jeden worek wrzucili je do radiowozu i zabrali się do przesłuchiwania ochroniarzy, którzy byli tu w niedzielę.

Goryle niewiele wiedzieli. Gwidon, który jeździł z panią Józefą do stryja pod Płońsk, wynudził się pół dnia, bo traktowali go tam jak młodszego pomocnika lokaja w carskiej Rosji, jeść nawet nie dali i zwracali się do niego per „niech idzie, niech nie stoi, bo przeszkadza”. Towarzystwo składało się ze strasznych biznesmenów w białych skarpetkach i z jowialnych ćwoków nie odróżniających pudermantla od pumpernikla. Wrócił zły, że poniżają go za te paręnaście balonów miesięcznie, o które zresztą też się trzeba naprosić. Mietek nic nie wiedział, bo latał po papierosy, przy okazji wstąpił na piwo i spotkał kumpla, który robi w egzekucji długów i sobie pogadali. Ta siksa, córeczka go ochrzaniła, a jak wrócili, to na pewno stary nie przyjeżdżał, bo cały czas stał na bramie i filował. Ziutek, ksywa „Pafnuc”, był chory i nie przyszedł na zmianę. Coś mu zaszkodziło, tak że latał bez przerwy jak prezydent do Gdańska i był nie do życia. Krótko mówiąc wynikało z tego, że pan Ciurbol musiał pojawić się w domu między

jedenastą trzydzieści a dwunastą, mniej więcej, odstawić tojotę do garażu i z miejsca pójść do tej pralki. Jak panie wróciły, to nikt nie włąził do garażu i nie zauważył samochodu, a szanowny właściciel w tym czasie najprawdopodobniej był już u Abrahama na piwie.

No tak, ale kto do cholery utłukł tego Ciurbola? – pytanie zadał sobie O'Mlett po wysłuchaniu zeznań wszystkich obecnych tego dnia w domu na Krzykleszczaka pięć.

Ekipa dalej przekopywała pralnię i dom, więc O'Mlett z sierżantem wrócili do komendy i złapali za telefon.

W zakładzie medycyny sądowej powiedziano im, że sekcja trwa i niech zadzwonią za godzinę, natomiast w Tarnowie byli rozmowniejsi.

Otóż ksiądz był Bogu ducha winien, bo niedawno przyszedł na tę parafię i odziedziczył dawne układy i dawnych ludzi. Szwagier gospodyni, ten który aktualnie nie siedział, miał dostęp do starych sutann, komży i różnego sprzętu pozostawionego przez proboszcza-nieboszczyka. Korzystał z tego pełnymi garściami, co O'Mlett miał okazję naocznie sprawdzić. Dowodów miał parę i w ogóle nie był to dla niego problem, bo miał dojsście do fachowca od lewych papierów, i to w szerokim asortymencie. Leniwy był do tego i niezbyt inteligentny, więc potrafił dwa i trzy

samochody sprzedać pod jednym nazwiskiem. Samochody były zwyczajnie kradzione z różnych instytucji kościelnych, bo tam delikwent miał najlepsze dojsście. Tego audi, którym się rozbił, podprowadził od sufragana. Miał szerokie kontakty, a z Ciurbolową jedli sobie z dziobków, bo ta księża gospodyni ze Strupów Wielkich, to jej szwagierka – wdowa po brata żony pierwszym mężu, który powiększył grono aniołków, bo lubił sobie pociągnąć jagodzianki na piszczelach.

Całe szczęście, że tej telefonicznej opowieści wysłuchiwał Charuj, a nie komisarz, bo ten by pewnie niewiele zrozumiał.

Odezwała się wreszcie sądówka i podała wyniki sekcji: śmierć wskutek utonięcia, liczne powierzchowne otarcia naskówka i podbiegnięcia krwawe na całym ciele, szczególnie w części grzbietowej, ciało po śmierci poddane działaniu wysokiej temperatury, brak urazów wewnętrznych i zewnętrznych wskazujących na działanie mobilne (aktywną obronę, udział w bójce).

O'Mlett kazał to sobie powtórzyć dwa razy i usiadł.

– Ya ne rozume, a ty?

– Wygląda na to, że ten Ciurbol uprał się, odwirował i wysuszył! Tyle z tego rozumiałem! – odrzekł Charuj.

– Ale po yakom kolere?

– Może wpadł do pralki, tylko po czorta ją włączył?

– Cosz prał!

– Co? Skarpetki i gacie, które miał na sobie? To nie łatwiej było je przedtem zdjąć?

– Ślak by trafił, to lepszy zagatka!

Sierżant uśmiechnął się – a znasz kawał o kanarku?

– Ne znam.

– Facet przychodzi do weterynarza i mówi, że kanarek miał pchły, więc go uprał. Weterynarz go ochrzania, że zabił kanarka, a facet na to: co pan, pranie zniósł dobrze, zdechł dopiero jak go wykręciłem w wyżymacze!

O'Mlett roześmiał się. – Ale Ciurbol wykytował od prane, a ne od wyżimaczka!

Zadzwoił telefon wewnętrzny i inspektor obu panów zaprosił do siebie. Gdy wchodzili, to sekretarka ponura zazwyczaj i szara jak resztki śniegu na kopalnianym placu, tym razem uśmiechnęła się nawet i podniosła kciuk do góry.

– Witam panów – powiedział inspektor i wyszedł zza biurka – gratuluję, wspaniały sukces, morderstwa i narkotyki mają pełne ręce roboty, świetnie się pan spisał komisarzu, no cóż, dobra no-wojorska szkoła!

– Czykagoszka – poprawił O'Mlett.

– A tak! Rzeczywiście – inspektor zatarł ręce, aby ukryć lekkie zakłopotanie – prasa niewątpliwie się dowie i, być może, będą chcieli przeprowadzić z panem wywiad!

– Nech gada press z serżantem, on lepy mówy polsky.

– A tak, oczywiście, ale pan tu jest główną osobą w tej sprawie i niewątpliwie główną atrakcją! – Tu inspektor tak się uśmiechnął, że gdyby nie uszy, to widać by mu było zęby z tyłu głowy.

– Ya sze czeszy, że ya artakcja. Pewno węższy niż King Kong.

Charuj parsknął przytłumionym śmiechem, a uśmiech inspektora zbiegł się o połowę. Zapadło kłopotliwe milczenie.

Po minucie Strzypiur odzyskał rezon, bo skończyły się reweranse, a zaczęły schody:

– A co właściwie denat robił w tej pralce, czy jesteście pewni, że nikt go tam nie wepchnął, bo różne przesłanki działania, nawet i polityczne! No! Ja w to nie wierzę, ale, sami wiecie, w dobie ścierania się poglądów, nawarstwiania podziałów takie zbiegi okoliczności to woda na młyn i w ogóle...

– Jakie polityczne? – powiedział Charuj – panie inspektorze, przecież to był zwyczajny handlarz i hochsztapler!

– Nooo, tak nie można od razu... śledztwo jeszcze nie jest definitywnie zakończone, a trzeba będzie rzecznikowi prasowemu dać wiarygodne przesłanki, na bazie, no, że tak powiem, naszych

przemyśleń w tej sprawie, rozumiecie, adekwatnych do oczekiwań społecznych!

– A czy pan, szefie, może nam wyraźnie powiedzieć, czego pan od nas oczekuje? On (tu wskazał na O'Mletta) nie zna się na kwiatkach naszej nowomowy, a trzeba mu to jakoś wytłumaczyć, jeżeli ma mieć wywiad! – wystrzelił twardo Charuj.

– No, zasadniczo macie rację – zgodził się inspektor – trzeba w wyważony sposób określić, jaka była przyczyna znalezienia się Ciurbola w pralce, w której poniósł śmierć! Dodatkowej pikanterii przydaje tu fakt, że znaleziono go leżącego na stercie dolarów, prawda? No więc, panowie, przyczyna!

– Pścizina? – O'Mlett zastanawiał się przez sekundę – pścizina jest! On chciał upracz brjudne penondże!

Koniec 1